Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 18-19 | Poznań, dnia 10 grudnia 1934 | Rok IV

„Wystrzegajcie się talmudyzmu, trzymania się tego, co kiedyś zostało napisane. Musimy ciągle tworzyć, ciągle iść naprzód. Wyprzedzeni przez inne narody, musimy szybko odrabiać braki i doganiać je cywilizacyjnie". R. Dmowski

DR. EDWARD TAYLOR

O wolność gospodarczą

Na inauguracji roku akad. 1934/35 Uniwersytetu Poznańskiego prof. dr. E. Taylor miał odczyt „o wolności gospodarczej", którego ustępy główne podajemy poniżej na podstawie zapisek stenograficznych, korzystając z łaskawie nam udzielonego zezwolenia.

Gdy Smith formułował w zaraniu naszej nauki system ekonomiczny, zgodnie ze swym filozoficznym światopoglądem, oparł analizę życia gospodarczego na izolacji motywu interesu osobistego w działaniu ludzkiem, uważając ten motyw za charakterystyczny dla działania gospodarczego jako wyraz zasadniczy skłonności natury ludzkiej. Tak ujęte działanie miało zapewnić maximum rezultatów dla jednostki, jednocześnie zaś i dla społeczeństwa, gdyż według indywidualistycznego poglądu Smitha społeczeństwo jest tylko sumą jednostek. Nie znaczy to, by Smith nie widział sprzeczności interesów między jednostkami i warstwami społecznemi. Nieraz wyraźnie je zaznacza, jednak wydawało mu się, że to istnieje tylko w mniejszości, czemu większość przy zapewnionej wolności działania może zapobiec. Naturalną konsekwencją takiego postawienia sprawy był postulat polityczno - gospodarczy wolności gospodarczej, gdyż przy niej jednostka mogłaby, wiedząc najlepiej, co leży w jej interesie, swobodnie realizować swój interes osobisty, a przez to równocześnie w najpełniejszy sposób realizować dobro społeczne. Równocześnie ten postulat polityczno - gospodarczy posłużył za podstawę dla badania stanu rzeczy, jakiby się urzeczywistnił przy realizacji wolności gospodarczej, a więc posłużył za założenie metodologiczne dla stwierdzenia pewnych prawidłowości gospodarczych, czyli dla budowy teorji ekonomiki. Wten sposób powstanie teorji ekonomiki związało się w sposób sztuczny, przypadkowy z postulatem wolności gospodarczej, co poplątało wyraźnie sprawy tej wolności. Zaciążyło to niezmiernie na dalszym rozwoju nauki. Oba sposoby stawiania zagadnienia wolności zdawały się dla wielu ekonomistów ściśle i koniecznie z sobą związane. I choć już nauka dawno rozplątała to sztuczne powiązanie, w opinji szerokich warstw nie bez winy niektórych kierunków ekonomiki jak np. klasycznego liberalizmu, rozpowszechnione jest wciąż przekonanie, że ekonomika uważa za idealny stan społeczny nieograniczoną wolność gospodarczą, wolną konkurencję.

Rozwój ekonomiki od drugiej połowy XIX wieku należy zawdzięczać przedewszystkiem rozplątaniu owego węzła nieporozumień, zawiązanego u jej kolebki. Rozróżniono dokładnie wolność gospodarczą, jako założenie metodologiczne przy rozważaniu współzależności zjawisk gospodarczych, w szczególności tworzeniu się cen, od jej znaczenia jako postulatu politycznego. Za rozróżnieniem tem poszło i stwierdzenie, że możliwe są jeszcze inne założenia metodologiczne, wypracowano teorję cen przy monopolu, odróżniono różne jego formy, obecnie zaś nawet wypracowuje się teorję cen przy ograniczonej konkurencji, oraz przy konkurencji monopolistów. W ten sposób niezmiernie się rozszerzyły horyzonty myśli ekonomicznej, wzbogaciła się treść teorji ekonomiki; uzyskała ona coraz doskonalsze narzędzia dla analizy skomplikowanej rzeczywistości, powiększyły się bardzo dokładność i realizm ekonomiki w rozplątywaniu form, w jakich życie praktyczne stawia zagadnienia gospodarcze.

W związku z tem równocześnie pogłębiło się zasadniczo ujęcie zagadnienia wolności gospodarczej jako podstawy dla pewnych postulatów polityczno - gospodarczych.

W dalszym ciągu jest ono ściśle związane z zagadnieniem interesu osobistego i zakresu jego realizacji, gdyż to służy za uzasadnienie wolności gospodarczej. Staranne rozważenie roli w życiu gospodarczem interesu osobistego uwolniło go od dawnej identyfikacji z t. zw. egoizmem, wysuwając jako istotną jego treść odczuwanie przez jednostkę tych czy innych celów działania jako jej własnych, wiążąc go więc jeszcze bardziej z wolnością wyboru celów i środków. W tem ujęciu ma on niewątpliwie zasadnicze znaczenie dla rezultatów życia gospodarczego, dla dobrobytu społeczeństwa. W dziedzinie konsumcji jest jasnem, że jedynie wolność dać może maximum subjektywnego zadowolenia. Pewnikiem jest też, stwierdzonym już dawno przed Smithem, przez św. Tomasza z Akwinu, że swobodny wybór celów i środków przez interes osobisty jest pobudką, zapewniającą największy wysiłek producenta i wymieniającego, dającą maximum rezultatu. W rozdziale dochodów interes osobisty, dochodzący do gry przy wolności gospodarczej daje naturalne ustosunkowanie się wynagrodzeń czynników produkcyjnych, zapewniające równowagę popytu i podaży, a przez to najlepsze wykorzystanie zasobów społecznych życia gospodarczego. Tak więc potwierdza się naogół stare przekonanie o dobroczynnych skutkach wolności gospodarczej. Nowoczesna ekonomika wprowadza tu jednak zasadniczą poprawkę. Niewątpliwie w ogólnem równaniu równowagi, w jakie, idąc za Walras'em, możemy teoretycznie ująć fakty życia gospodarczego, jedynie wolność gospodarcza daje maksymalizację wszystkich wielkości, stanowiących elementy równania. Ale: 1) maksymalizacja ta tyczy się tylko wielkości objętych równaniem, a więc tylko wielkości gospodarczych, jest zatem jednostronną, nic nie mówiąc o tem, jakie to skutki może wywołać w stosunkach pozagospodarczych, a przez to następnie pośrednio i w zakresie samych stosunków gospodarczych; 2) tyczy się ona tylko danej chwili, ujętej statycznie, nic nie mówiąc o tem, jakie to skutki może pociągnąć dla przyszłości samego życia gospodarczego; 3) tyczy się ona wreszcie tylko danych wielkości w ich danem ustosunkowaniu, nie mówi nic o tem, czy innny układ tych wielkości nie dałby wyższego stanu maximum, a więc dobrobytu społecznego. Owo więc maximum korzyści jest czysto gospodarcze i statyczne, nie jest maximum maximorum, nie bierze pod uwagę czynników pozagospodarczych, ani wymogów przyszłości życia gospodarczego, ani możliwości odmienej struktury gospodarczej społeczeństwa.

Dlatego też ustosunkowanie się ekonomiki do zagadnienia wolności gospodarczej uwzględniać obecnie musi powyższe, zaniedbywane dawniej, elementy. Ogólnie można powiedzieć, że wolność gospodarcza jest tam niezbędna, gdzie cele osobiste pozostają w harmonji z celami ogólno-społecznemi, gdyż zapewnia to maximum rezultatu nietylko dla jednostki, lecz i w najtańszy sposób także dla społeczeństwa. Tam zaś, gdzie interes osobisty jest sprzeczny z dobrem ogólno-społecznem, gdzie interes gospodarczy stoi w sprzeczności z wyżej cenionym interesem poza-gospodarczym, gdzie społeczeństwo wyżej ceni interes przyszłości, niż teraźniejszości, tam powstaje uzasadnienie dla interwencji czynnika ogólno - społecznego celem ograniczenia wolności gospodarczej, zjawia się konieczność jej w imię dobra ogólno-społecznego, narzuca się więc postulat stałego nadzoru państwa nad biegiem życia gospodarczego. Interwencja ta jednak musi być ostrożna: pomijając bowiem zagadnienia odważenia dobra ogólnospołecznego, powstają przy niej zawsze zagadnienia bezpośrednich kosztów samej interwencji oraz zagadnienia ubocznych skutków, czyli dodatkowych kosztów, które muczą być brane pod uwagę przy decyzji i również starannie odważone. Interwencja więc ta ma swoje granice. Są niemi w pierwszym rzędzie konieczność utrzymania działania interesu osobistego jako głównego środka osiągania celów gospodarczych, gdyż okazuje się on najcelowszym i najtańszym ze wszystkich nam znanych póki istnieją ograniczoność darów przyrody oraz znana nam na podstawie doświadczenia historycznego natura, psychologja ludzka. To też interwencja okazuje się naogół skuteczną przedewszystkiem w razie popierania prywatnej inicjatywy, jej koordynowania i pobudzania, a nie w drodze jej postępowania własnem działaniem.

Jak widzimy, analiza zagadnienia wolności gospodarczej przez ekonomikę teoretyczną, uwolniwszy się od związku z polityczną i światopoglądową stroną sprawy, pogłębiła znacznie przedmiot i posunęła go naprzód. Nie można tego powiedzieć o sposobie ujmowania tego zagadnienia przez szerokie warstwy społeczeństw w ich walce codziennej o takie czy inne praktyczne ukształtowanie polityki gospodarczej czy ustroju społecznego. Ów postęp teoretyczny nie wiele wpłynął na stawianie sprawy, czy to przez obrońców wolności gospodarczej, czy też przez jej przeciwników. Obrońcy wolności ograniczają się najczęściej do powtarzania starych argumentów liberalizmu o dobroczynnych skutkach wolnej konkurencji. To samo należy powiedzieć o bardziej znacznie obecnie — w porównaniu do obrońców — licznych przeciwnikach wolności gospodarczej, którzy operują wciąż prawie zupełnie temi samemi argumentami, jakie były używane w pierwszej połowie XIX wieku. W obecnych czasach powojennych i kryzysowych trudności wszelkiego rodzaju, jakie napotykają społeczeństwa, skłaniają z łatwością do szukania przyczyn tych niedomagań przedewszystkiem w wadliwości współczesnego ustroju społecznego. Podobnie jak w początkach XIX wieku, w równie trudnych warunkach, rozwinęła się obecnie niezmiernie gwałtowna krytyka tego ustroju, pojawiło się nawet szereg prób zasadniczej jego reformy. Krytyka ta atakuje przedewszystkiem wolność gospodarczą, przypisuje jej wszelkie zła współczesnej epoki, reformy zaś ustrojowe skwapliwie usuwają ją, wprowadzając na jej miejsce różne formy planowego gospodarstwa. Tak więc wolność gospodarcza stanęła znowu w ogniu najbardziej gorących walk, stała się przedmiotem namiętnych sporów i krańcowych eksperymentów. Niestety jednak, jak wspomnieliśmy, krytyka ta mało co skorzystała ze stuletniej spokojnej naukowej dyskusji w omawianej dziedzinie. Te jej zarzuty, które są słuszne, zwracają się nie przeciw samej wolności gospodarczej, lecz przeciw jej nadużyciom, przerostom, walczą nie ze stanem realnym, ani z twierdzeniami ekonomiki tylko z twierdzeniami, formułowanemi i postulowanemi przez liberalizm, które nigdy nie były w praktyce realizowane, gdyż nie mogły niemi być: nie można bowiem wyobrazić sobie społeczeństwa, opartego na pełnej wolności gospodarczej, na zupełnie biernej postawie państwa, gdyż społeczeństwo takie nie miałoby zupełnie możności istnienia, byłoby anarchicznem zbiorowiskiem ludzi, a nie zorganizowanem społeczeństwem.

(Ciąg dalszy na stronie 2-ej)

W numerze:

DR. ADAM ŻÓŁTOWSKI

Podstawy filozoficzne polskiego ruchu narodowego

Wątpliwy zaszczyt zrobilibyśmy ruchom narodowym, gdybyśmy je poczytali za coś zupełnie nowego w społeczeństwie ludzkiem. Im bardziej jesteśmy przekonani, że odpowiadają one głębokiej i zasadniczej potrzebie, tembardziej zgóry przekonani być możemy, że te same sprężyny i pobudki, że te same żywioły duchowe, które w nich znalazły swój wyraz, odzywały się i drgały już dawno, chociaż w innej formie. I w istocie, jeśli zajrzymy choćby do pieśni Homera, to znajdziemy tam z wielką siłą i natchnieniem wypowiedziane przywiązanie do rodzinnego miasta i gotowość do poświęcenia się za nie, słowem owo coś, co w czasach nowszych nazywać się będzie patrjotyzmem. I podobnie w późniejszych czasach Grecji rozstrzygającą rolę odgrywać będą związki amfiktjoniczne i sakralne, a samo miano Hellenów w wysokiem będzie poszanowaniu, mimo podziału plemion greckich na wielką mnogość politycznych tworów. Dopiero wojna peloponeska złowrogo ten stan rzeczy podkopie.

Czyż wreszcie wyobrazić sobie można potężny i niewstrzymany przez tyle wieków rozwój Rzymu bez wiary w jego przeznaczenie, bez przywiązania do jego przeszłości, bez tego, co w naszym języku nazywa się miłością ojczyzny? Jeszcze św. Hieronim w początkach V wieku da mocny wyraz temu uczuciu w obliczu zdobycia stolicy świata przez Alaryka.

Osobliwa, nieskończenie oryginalna struktura wieków średnich wprowadzi tu niewątpliwie pewną przerwę ciągłości i w tym świecie, opartym na niewyczerpanem mnóstwie stosunków i przywilejów osobistych, rodowych i lokalnych, trudniej jest o odnalezienie analogji, a jeśli gdzie budzą się wcześnie te instynkty, i pojawiają zapowiedzi późniejszego przeobrażenia, to nigdzie silniej jak w Polsce.

Poczucie plemiennej przynależności jest niewątpliwie prastare, ale rola i charakter postaci takich, jak Stanisław Żółkiewski lub Stefan Czarniecki uderzają tem najgłębszem przywiązaniem do kraju, tem obywatelskiem poczuciem, które się być zdaje bliższem patrjotyzmu narodów nowożytnych, niżeli wówczas jeszcze obowiązującej we współczesnej Europie zasadzie wierności swemu suwerenowi, honorowi wojskowemu, rycerskiemu obyczajowi itp.

Krasiński powie we wstępie do „Przedświtu", że Napoleon narodowości europejskie przebudził z uśpienia. Jakkolwiek dalecy być możemy dzisiaj od naiwnego podziwu dla rewolucji francuskiej i jakkolwiek nauczyliśmy się zdawać sobie sprawę z wielkości społecznego spustoszenia przez nią dokonanego, faktem to pozostanie, że nowy perjod świadomości narodowej w Europie datuje się od wstrząsu wywolanego tym wielkim przewrotem. Tylko, że kiedy się mówi o tak zwanej zasadzie narodowości wieku XIX, pojmuje się ją zazwyczaj w sposób nieco zbyt uproszczony. Rozumie się ją zazwyczaj tak, że o zjednoczeniu narodowem oraz ich samodzielności politycznej zamarzyli Niemcy, zamarzyli Włosi, przypomnieli sobie swą przeszłość Grecy, a także Czesi, Węgrzy, Serbowie, no i przedewszystkiem Polacy ani na chwilę nie przestali dążyć do tej wolności, którą utracili; były tajne związki, niepokoje, powstania, było wysokie napięcie uczuć, i była polityka Cavoura, Napoleona III, Bismarcka, grająca na tych rozbudzonych siłach. Cel i istotę tych ruchów narodowych przedstawia się jako coś całkiem jasno określonego, co się samo przez się rozumie, jako niepodległość polityczną, odbudowanie państwowego bytu, powrót do samodzielności.

Przy takiem pojmowaniu ruchów narodowych, które było dość powszechne nawet wśród ich najprawowitszych przedstawicieli, staje się zrozumiałe to, co nastąpiło w umysłach zaraz po wojnie światowej.

Uciśnione narodowości Europy osiągnęły swój cel, wyzwolono wszystkich niewyzwolonych jeszcze Włochów, Serbów, osiągnęli niepodległość Czesi, Irlandczycy, a nawet Łotysze i Estończycy, wreszcie pojawiła się na nowo na mapie Europy przez 100 lat z niej wymazywana Polska. Wielu ludziom się wydawało wobec tego, że wszelkie ruchy narodowe stały się zbędne i przeżyte, że trzeba się oglądać za nowemi zasadami dalszego rozwoju, że ta karta historji raz na zawsze się odwróciła. Niespodzianką nielada było to, że po wojnie tu i owdzie o „zasadach narodowych", o ruchu narodowym zaczęto mówić na nowo, jak gdyby osiągnięta niepodległość nie zakończyła jeszcze ich powołania.

Otóż nieporozumienie to wszędzie raczej było zrozumiałe i dopuszczalne, aniżeli w Polsce. W istocie, jeśli zajrzymy do źródeł i pomników duchowego życia Polaków w wieku XIX, przekonamy się łatwo, że choć dążenie do zrzucenia każdan przyświecało im przedewszystkiem, jednak nie wyczerpywało to ich myśli, a w głębi ich świadomości odzywało się coś obszerniejszego i sięgającego dalej.

Więc przedewszystkiem uderzającym rysem naszej porozbiorowej historji jest chyba to, że znajdując się w najcięższych ze wszystkich narodów warunkach, Polska, jak nikt inny, pierwiastkiem narodowym przepoiła całą swoją kulturę. I tak pozostanie faktem chyba niezaprzeczonym, że to potężne zjawisko duchowe, które nazywa się romantyzmem, na zachodzie służyło naogół ideałom nieskrępowanego indywidualizmu, w Polsce idei narodowej. Jest to rys, który warto zaznaczyć i zapamiętać. Zresztą usymbolizował je Mickiewicz w Dziadach śmiercią Gustawa a narodzinami Konrada. Indywidualizm, który doprowadza np. w ekonomice do tak mało poetycznych konsekwencyj, jak to na które patrzymy, w istocie ma swoich piewców, ma swoją poezję, i to nie byle jaką. Wszak Byron jest poetą indywidualizmu. Jest nim tak samo Shelly, jak Chateaubriand, jak Lamartine, jak Leopardi. Tak samo trudno będzie jakieś ideały polityczne odkryć w Goethem — a pieśni bojowe Arndta czy Koernera więcej się zdają świadczyć o nastrojach chwili, aniżeli wskazywać na przyszłość. W Niemczech jeden Fichte mógłby stanowić wyjątek, lecz to nie obaliłoby ogólnej reguły, tak, jak jej nie obalają społeczne aspiracje pani Sand, ani demokratyczne przekonania Micheleta. Tymczasem, w polskiej poezji, jak burza, zrywa się patrjotyzm i natchnienie narodowe w improwizacji Mickiewicza. Powiedziećby można, że od niej rozpocznie się nowa era w poczuciu narodowem Polaków. Ale wystarczy dokładnie wejrzeć w ten najwyższy pomnik poetycznego uniesienia, aby się przekonać, że właśnie tam pojmowanie narodu i jego przeznaczeń bynajmniej nie służy tylko nastrojowi chwili i potrzebom artyzmu, ani się nie kończy na wyśpiewaniu dążenia do niepodległego bytu.

„Ja kocham cały Naród, objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia".
— — — — — — — —
„Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!"

Jak w tych wierszach zawarta jest najistotniejsza definicja narodu, jako całości wszystkich przyszłych i przeszłych pokoleń, związanych jednem uczuciem miłości, tak odzywa się w nich świadomość narodowego przeznaczenia i powołania. Bo naród, odzyskując wolność, nie byłby jeszcze koniecznie przedmiotem podziwu. Mickiewicz zaś pragnie zapewnić mu szczęśliwość, a świat wprawić w zdumienie oczywiście tem, co ten naród przedstawiać będzie i zdziałać potrafi. Jeszcze dokładniej wyrazi to w innym wierszu tej samej Improwizacji:

„Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył!"

Poeta dokładniej się wyrażać niema potrzeby. Wszak nie chodzi tu o poezje dydaktyczna. Naród jako żywa pieśń, to znów jedna z najpiękniejszych definicyj narodu, a wymownie wskazująca, że dla narodu tylko być i być samodzielnym, to jeszcze nie dosyć, że musi on treść pewną w sobie nosić, przedstawiać i harmonijnie wyrażać.

Filozoficznie najbardziej pogłębiony z romantyków, nietylko polskich, Krasiński, tej prawdy świadomy jest w całej pełni i wielokrotnie ją wypowiada. Cała jego filozofja polityczna, na tem przekonaniu będzie oparta, że narody to żywe urzeczywistnienia możliwości założonych w duchu ludzkim przez Boga samego, mające najwyższe metafizyczne i religijne znaczenie. Wszak on to powie o Bogu i narodach:

„Garść im powołań sypnąłeś z wysoka,
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,
Co piersi Twoich zesłanem jest tchnieniem
I narodowi odtąd przeznaczeniem."

Na tej koncepcji oprze się niewzruszona wiara Krasińskiego w narodową nieśmiertelność, a ta mu pozwoli tak trafnie, jak się okazało, przewidzieć przyszłe losy Polski, które za jego życia bliskiemi beznadziejności wydawać się mogły. Ważniejszem dla nas w tej chwili jest to, że Krasiński znowu najwyższy nacisk kładzie nie na fakt, lecz na treść narodowego życia. Odzyskanie niepodległości nie przedstawia mu się jako rzecz przypadku, jako jakaś szczęśliwa niespodzianka, lecz jako konieczność najwyższego, bo duchowego porządku, brzemienna dalszą treścią o nieskończonej wartości.

I cały ten prąd ideowy z romantyzmem związany, o którym słyszy się tyle powierzchownych sądów — mesjanizm polski miał swoje strony małe, niedojrzałe, ludzką ułomnością naznaczone. Ale zasadniczo na niczem innem się nie opierał, jak na poczuciu niespożytych wartości narodowego ducha, niewspółmiernych z kolejami losu, które do czasu przytłumić go mogły.

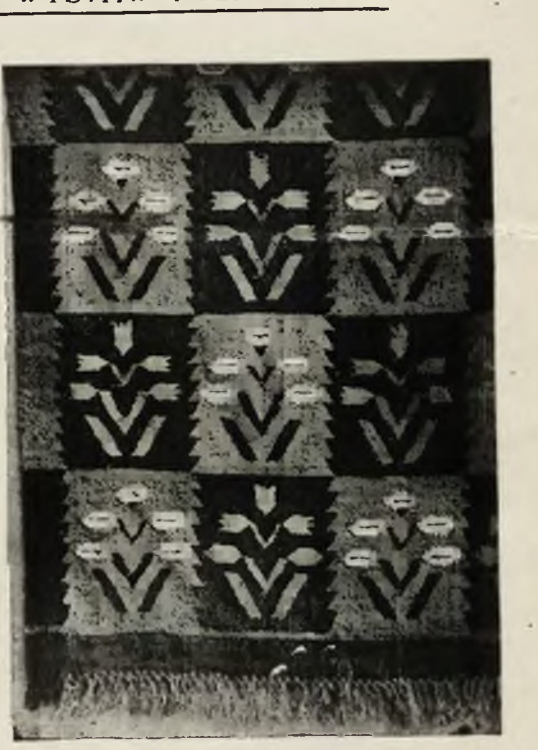
W świetle takiego rzeczy pojmowania to, co się na oczach naszych dzieje w świecie, przedstawia się jako urzeczywistnienie dawnych zapowiedzi, jako obrót zdarzeń, który nietylko był do przewidzenia, lecz był przewidziany. Odzyskanie przez narody ujarzmione, a w pierwszym rzędzie przez nasz własny, niepodległości, nie jest wcale szczytem i ostatniem słowem ich historji, jest przeciwnie jakby tylko wstępem, choć niezbędnym warunkiem do tego, by żyć zaczęły wedle swoich przeznaczeń, uzdolnień i powołania. Jedno się wydaje pewnem, że w uświadomieniu tych rzeczy naród polski wyprzedził inne, choć ich może w tej chwili nie wyprzedza w ich urzeczywistnianiu.

Uderzającym jest rysem niedawnej przeszłości, że powojenne prądy narodowe np. włoski, naogół mało były świadome swojej istoty. Faszyzm powstał drogą zdrowego i silnego, ale na ogół mało pogłębionego odruchu, a rozwinął w znacznej mierze przez doraźne zaspakajanie najbardziej palących potrzeb. Na kilka lat po dokonaniu rewolucji faszystowskiej, można się było spotkać we Włoszech z najbardziej dziwacznemi i nieudolnemi teorjami na temat zasadzych faktów. Dotychczas najbardziej do tego powołani stanowczo dopatrują się różnicy pomiędzy faszyzmem, a nacjonalizmem włoskim. O zjawiskach niemieckich wyrokować jest trudno, w każdym razie jedno w oczy bije, że współczesne Niemcy w znacznej mierze wyrzekają się swojej przeszłości, a jedna różnica z naszym ruchem narodowym mocno się uwydatnia, to że w Polsce na pierwszym planie znajdowały się zawsze wartości duchowe, duch polski był podstawą wszelkich zabiegów, obliczeń i nadziei, Niemcy, którzy dawniej o ideach mówić umieli tak wymownie, zdają się chcieć poprzestać na rasie jako na podmiocie narodowych dziejów.

Jakkolwiekbądź u samego szczytu polskich natchnień, skąd najgórniejsza płynie tradycja pojmowania narodu, jego istoty i jego powołań, znajduje się obok tytanicznych uczuć i porywających widzeń najtrafniejsza i najpraktyczniejsza wskazówka na wszelkie czasy narodowego bytowania, dziś w Polsce może szczególnie aktualna.

„A życie jego trud trudów".

Z WYSTAW POZNAŃSKICH



„Doniczki" — piękny kilim znanej artystki śląskiej p. Ireny Rejewskiej - Obrąba, z obecnej wystawy w Instytucie Krzewienia Sztuki, plac Wolności 14-a. Fot. R. S. Ułatowski.

O wolność gospodarczą

(Dokończenie ze strony 1-szej)

Z pośród argumentów współczesnych najczęściej używanych do krytyki wolności gospodarczej i uzasadnienia zasadniczych reform ustrojowych, następujące są najistotniejsze. Pierwszy — to przypisywanie wolności gospodarczej, że ona to oddziela własność od pracy, wytwarza proletarjat, jest powodem pauperyzmu i złego położenia gospodarczego szerokich mas społeczeństwa. Argument ten wysunięty jeszcze w początkach XIX w. przez Sismondi'ego, dotychczas wciąż jest powtarzany, choć niesłuszność jego jest widoczna. Wszystkie powyższe objawy wywoływała w ciągu XIX w. nie wolność gospodarcza, lecz kierunek koncentracyjny, w jakim działało w tym czasie prawo wielkości przedsiębiorstw. Dawało ono w ciągu XIX wieku przewagę wielkim przedsiębiorstwom, zabijało małe przedsiębiorstwa i proletaryzowało ich właścicieli, ponieważ w tym okresie wszystkie czynniki, decydujące o rentowności przedsiębiorstw, przysparzały największą rentowność właśnie wielkim, oraz większym przedsiębiorstwom. Z drugiej strony przez długi czas wzrost ludności i postęp techniczny przewyższał relatywny wzrost kapitału, wzmacniał wciąż stanowisko na rynku kapitału. Przy działaniu dekoncentracyjnem prawa wielkości przedsiębiorstw można sobie doskonale wyobrazić świetny rozwój i trwałe istnienie społeczeństwa, składającego się wyłącznie z samoistnych małych gospodarstw, mimo, że będzie ono oparte z istoty rzeczy na bardzo nawet daleko idącej wolności gospodarczej. Odwrotnie znów najdalej idąca interwencja nie ocali na dłuższą metę małych przedsiębiorców od zguby przy koncentracyjnem działaniu prawa wielkości przedsiębiorstw. Tak więc owe zle strony t. zw. wielkokapitalistycznego ustroju przypisywane wolności gospodarczej nie są jej wynikiem, lecz działania prawa wielkości przedsiębiorstw. W rozumowaniu antagonistów wolności jest tylko tyle racji, że rzeczywiście bronić społeczeństwo przed koncentracyjnemi skutkami działania prawa wielkości przedsiębiorstw może przedewszystkiem interwencja państwa, i to działająca drogą ograniczania wolności gospodarczej, gdyż za pośrednictwem tej ostatniej dochodzi do skutku działanie prawa wielkości przedsiębiorstw. Lecz zupełnie co innego stanowi zwalczanie wolności gospodarczej jako takiej, a zapobieganie tym złym skutkom, jakie obok przeczywistych korzyści w formie powiększania dochodu społecznego wywołuje koncentracyjne działanie prawa wielkości przedsiębiorstw, działającego swobodnie w danym ustroju. Interwencja tak pojęta leży w granicach dopuszczalnych, poprzednio przedstawionych: zadaniem jej staje się nie usuwanie wolności gospodarczej, lecz częściowe jej ograniczanie przedewszystkiem dla jej utrzymania, dla obrony jej przed jej przeciwstawieniem, tj. monopolem.

Drugi zarzut — to anarchja produkcji, wywoływana przez wolność gospodarczą, kierowanie się przy niej gospodarstwa społecznego tylko zyskiem indywidualnych przedsiębiorców, a nie dobrem społecznem, wynikające stąd marnotrawstwo, bezrobocie, kryzysy itp. Obecny kryzys dość często przypisuje się właśnie tej właściwości wolności gospodarczej. Zarzut ten jest skierowany pod zupełnie fałszywym adresem. Kryzys obecny przyszedł właśnie nie po okresie wolności gospodarczej jako jej rezultat, lecz po długim okresie wiązania tej wolności, począwszy już od ostatniej ćwierci XIX wieku tak w drodze administracyjnej przez państwo, jak w drodze gospodarczej przez zmowy przedsiębiorców, czemu się państwo obojętnie przyglądało lub nawet popierało ten ruch. Z punktu widzenia gospodarczego jest on właśnie wynikiem związanej gospodarki, a nie wolnej, skutkiem nienaturalnego ustosunkowywania się do siebie dochodów z pracy i kapitału, skutkiem nienaturalnych stosunków kredytowych, popierających konsumcję i inwestycje, a utrudniających kapitalizację, skutkiem wzmożonej konsumcji państwowej przez rozdymanie się budżetów, wzrastających w miarę przyjmowania przez państwo coraz to nowych zadań z powodu wiązania życia.

I bynajmniej planowa gospodarka nie zabezpiecza przed kryzysami. Przeciwnie muszą one w niej występować i częściej i z większą siłą. Błędy w dostosowywaniu popytu do podaży są nie do uniknięcia w żadnej formie gospodarstwa, gdyż opierają się na istotnych cechach zjawiska podaży i popytu. Musimy stwierdzić wraz z Marshall'em, że znamy tylko popyt i podaż przy danych cenach, nie jesteśmy zaś nigdy w stanie przewidzieć ich przy cenach wyższych czy niższych od ich zwykłych codziennych wahań, ani wielkości cen przy znacznie zmienionych podaży i popycie. Elastyczność wzajemną tych wielkości znamy tylko w niezmiernie małych przedziałach ich przebiegu, a w dodatku nie umiemy przewidzieć jej zmian przy zmianie warunków gospodarczych. W ustroju opartym na wolności decyzja co do wielkości tych wszystkich elementów jest rozdzielona między całą masę jednostek, które zapomocą codziennych drobnych posunięć wypróbowują wciąż nowe stany równowagi, dostosowują się do nich, poprawiają błędy. Wskutek tego te błędy wzajemnie się paraliżują i stosunkowo są małe, o ile elementy nie są usztywnione przez związanie życia gospodarczego. Natomiast przy centralistycznem kierownictwie życia gospodarczego, nieodzownem przy planowem gospodarstwie, — o ile się odrzuci przymus konsumcji, który się musi rozpowszechnić wówczas na całość życia i wprowadzić pewną specyficzną formę niewolnictwa, rugując równocześnie wszelki postęp gospodarstwa społecznego, — dostosowywanie podaży i popytu musi wyolbrzymiać owe nieodzowne i nieprzypadkowe, lecz istotne błędy, czyni je źródłem ciągłych wstrząsów i katastrof gospodarstwa społecznego. Gospodarstwo, oparte na wolności, nie jest anarchiczne, jest równie planowe, jak t. zw. gospodarka planowa, tylko sposób ustalania się i przeprowadzania planu gospodarczego jest tu odmienny, i to trzeba powiedzieć, tańszy i lepszy, bo wykorzystuje naturalne skłonności ludzkie dla dobra społeczeństwa, a przy odpowiednim nadzorze jest w stanie zapobiegać ich zboczeniom i przerostom.

K. TORSKI

DWA OKRESY WALKI

Kierunek narodowy, oparty na światopoglądzie uniwersalistycznym, wprowadza idealne pojęcie narodu, wprzęgając i jednostkę i państwo do służby celom narodu i dla jego dobra. Stwarza on niewątpliwie jednokierunkową harmonję i współpracę państwa i jednostki.

Cele narodu zależnie od swej istoty mogą być realizowane bądź w granicach możliwości jednostki, bądź też jedynie w granicach możliwości państwa. Idea narodowa dlatego jest tak pełna sił żywotnych, bo nie rozstrzyga sztywno i na stałe wzajemnego stosunku państwa i jednostki, tylko uzależnia go od celów, które naród ma w danej chwili przed sobą. Ponieważ są one punktem wyjścia przy rozważaniu tego stosunku, należy im poświęcić nieco uwagi.

Zasadniczym celem narodu jest jego rozwój we wszystkich dziedzinach, przyczem szczególny nacisk należy położyć na rozwój wewnętrzny, na dążenie do przedstawiania typu coraz to moralnie wyższego. To jest sedno zagadnienia. Ten cel może być realizowany głównie tylko przez jednostkę i to nie w dusznej atmosferze nacisku na nią ze strony państwa. Ucisk państwowy, objęcie przez państwo całokształtu życia jednostki uniemożliwia jej wewnętrzny rozwój, o który przecież chodzi, uniemożliwia wychowanie „nowego człowieka", nowego pokolenia narodu. Państwo nietylko może, ale musi stworzyć ramy dla tego trudu przez organizację wychowania narodowego. Na tem kończy się jego rola w tej dziedzinie. Tak więc w państwie narodowem, bo o niem ciągle jest mowa, ze względu na zasadniczy cel narodu, nie można dopuścić do nieusprawiedliwionego przytłoczenia jednostki przez państwo.

Stałą przeciwwagą tendencji pozostawienia jednostce zbyt dużej sfery swobody, nieusprawiedliwionej celem w jakim jej przez naród zostaje oddana, będzie konieczność utrzymania narodu przez państwo w prężności i gotowości do realizacji celów, które jedynie przez państwo osiągnięte być mogą. Pojęcie państwa narodowego musi w sobie zawierać pojęcie silnej władzy.

Inna rzecz, że nieraz i zupełne podporządkowanie jednostki państwu będzie koniecznem. Jak bowiem wspomniano, cele narodu obejmują rozwój we wszystkich dziedzinach jego życia. Zdarzać się będzie, że jakiś cel stanie się dla narodu aż tak ważnym, że trzeba będzie zupełnie przestać brać pod uwagę, naturalnie przejściowo, cel, który uznano za zasadniczy. Może się np. okazać, że ze względu na politykę narodu wobec sąsiada, należy nie poruszać w prasie pewnych tematów pod jego adresem. Trzeba wtedy odebrać jednostce wszelką możność takiego wypowiedzenia się. Tak zrobił Hitler, nie licząc się z jednostką zupełnie. Klasycznym zaś przykładem całkowitego poddania jednostki państwu dla celów narodu jest i zawsze będzie wojna. Podkreślić należy, że nadmienne ograniczenie jednostki przez państwo może nastąpić tylko ze względu na cel narodu. Trwać może ono tylko tak długo i w takim stopniu, jak dany cel tego wymaga. Będą to więc zawsze okresy przejściowe, bruzdy w płaszczyźnie życia narodu.

Dotychczasowe rozważania odnosiły się do państwa narodowego, a więc do sytuacji, kiedy naród zdobył swe państwo i używszy jego przymusu do uporządkowania stosunków wewnętrznych, cel osiągnął. Aby jednak naród do tego doszedł, musi przejść przez okres, w którym obok celu zasadniczego, głównym jego celem jest tegoż państwa narodowego realizacja. Taki jest cel każdego narodu, który nie jest naprawdę gospodarzem we własnem państwie. Musi się wtedy znaleźć część narodu, która uświadomiwszy to sobie, postanowi zdobyć władzę w państwie, by przez nie ten cel narodu urzeczywistnić. Jasnem jest bowiem, że dogłębne przekształcenie życia społecznego według kategoryj narodowych może się dokonać tylko przez państwo. Państwo zaś wtedy, opanowane przez ludzi walczących o realizację w niem państwa narodowego, nie będzie się liczyć z wolnością nietylko obcych pasorzytów, ale także i jednostek rdzennych, a nie rozumujących, czy też nie chcących służyć celom narodu.

Walczącym grozi jednak jedno bardzo poważne niebezpieczeństwo. Utracić mogą mianowicie właściwe spojrzenie, należytą perspektywę z której należy patrzeć na stosunek jednostki do państwa. Niestety zawsze tacy się znajdą, chodzi tylko o to, żeby byli w jaknajmniejszym procencie. Czy to walcząc o władzę, czy też już ją posiadając, wiedzą oni, zresztą słusznie, że tylko przymus państwowy może zrealizować panowanie narodu w jego państwie. Państwo w ich krótkowzroczności, staje się dla nich bożyszczem, a stąd krok tylko do uznania przymusu państwowego zamiast środkiem do realizacji państwa narodowego, celem samym w sobie, a ideałem państwa — państwo pełnowładcze. Wielkim np. znakiem zapytania jest, czy z tej przyczyny podkład narodowy w hitleryzmie nie zaczyna już się degenerować. Jeżeli hitleryzm z tych tendencyj nie wypłynie na szersze wody, to przesłonięcie celu: państwa narodowego, musi odwlec jego realizację, albo też może spowodować wewnętrzne wstrząsy w narodzie. Zwolennicy idei państwa pełnowładczego nie wyznaczają żadnej bezwzględnej czy względnej granicy czasowej trwania tego ustroju. Uważają go za najlepszy, obiecują „lepszą przyszłość", przyczem naturalnie milczącem ich założeniem jest, że oni nie będą pod przymusem, lecz będą go wykonywali.

Dla ruchu narodowego byłoby katastrofą, gdyby **okres realizacji państwa narodowego** zamknął widnokrąg jego warstwie kierowniczej i przesłonił ideał, do którego tylko prowadzi, **okres państwa narodowego**. Nie można bowiem nigdy zapomnieć, że nietylko wolność jednostki, lecz także przymus państwowy wywodzi się wyłącznie z celów narodu.

R. SUCHODĘBSKI

Francja pod rządem komitetów

Trzecia republika jest conieco dziełem przypadku. Republikański ustrój współczesnej Francji stał pod znakiem zapytania przez wiele lat. Utrwalał się w miarę wzrostu wpływów demokratycznych. Z całą pewnością uległ utrwaleniu, gdy pod koniec XIX w. partja radykalno-socjalistyczna silnie uchwyciła rządy Francji. Odtąd panuje przy użyciu mitu parlamentarnej demokracji, jako potęga nieodpowiedzialna, zbiorowa, wskutek tego anonimowa. Jednak ideowy upadek demokracji zajął miejsce jej rozwoju. Powoli Francja przekształca się na republikę towarzyszy (Jouvend w 1913 r.), którą wnet zobaczymy jako republikę profesorów (Thibaudet 1927). Dziś stała się republiką komitetów. Pod tym ostatnim tytułem, „La République des Comités", Daniel Halévy, znany francuski uczony, wydał świeżo niezwykle ciekawą rozprawę. Jest to historja partji radykalno - socjalistycznej. Historja partji, nie Francji. Granice czasowe: od 1895 r. do dziś. Dlaczego 1895? Gdyż wtedy wszechobecna, acz dotąd oportunistyczna masonerja staje się radykalna, jej tajne komitety — faktycznemi komitetami partji.

Pierwsi radykali rekrutowali się z paryskiej cyganerji i studenterji łacińskiej dzielnicy. W kawiarni rodziła się ta przyszła potęga, gdyż kawiarnia — zauważał złośliwie bodajże Maurras — jest Wersalem trzeciej republiki. Do r. 1899 Paryż jest ośrodkiem partji. Potem jednak Paryż bulwarów staje się nacjonalistyczny, jakim jest do dziś, nie faworyzuje potęgi komitetów i partja musi się przenieść na prowincję.

Tajną ideą komitetów jest paradoks: przywilej dla każdego. Jest to, zdaniem Halévy'ego, koncepcja równości najbardziej francuska. Dla radykałów polityka jest sztuką zadowolenia obywatela. Partja ma omal własną teologję, opartą o relatywizm i racjonalizm, skreślającą ze słownika szkół pojęcia Boga, duszy, modlitwy. W istocie rzeczy wygląda bezpartyjnie, bezprogramowo: wszystkie słowne sformułowania radykalizmu są negatywne. Bo też partja uważa wielki program za zbyteczny: wyborca niech orzeka o osobach, nie zaś o programach, do których osądu jest niezdolny.

Zradykalizowana masonerja budzi inne jeszcze nadzieje. Przedstawia oczom społeczeństwa ideę ciągłego i łagodnego rozwoju ku równości, utwierdzenia pokoju, wzmożenia szczęścia materjalnego. Ta ideologja szarego człowieka oburza uczonego historyka. Nie oszczędza jej zarzutu, że jest apoteozą małego człowieka, co nie jest cywilizacją, że obniża i upokarza ludzkość.

W partji radykalnej znachodziły się trudności. Obok rewolucyjnych grup robotniczych istniał humanitarny konfuzjonizm wolnomularski. Obie tendencje zostały spojone kitem antyklerykalizmu. Wszystko to nie wystarczało, gdyż zaczęło brakować świeżej myśli. Wreszcie, w 1896 roku znalazł tę nową formułę Leon Bourgeois. Był nią solidaryzm, przedstawiający znaczną wartość propagandową, gdyż umożliwiał współdziałanie starego, indywidualistycznego radykalizmu z przeciwstawiającym się mu socjalizmem. Jest więc solidaryzm pomysłowo zbudowaną wypadkową. Przezeń rodzi się sojusz lewicy, zwany blokiem w 1902 r., kartelem w 1924 r.

Inaczej niż Thibaudet, Halévy uznaje i prawicę i lewicę za grupy ideowe. Różnica jest ta, że drudzy wierzą w równość jednostek i w suwerenność liczby, pierwsi zaś w nierówność jednostek i w suwerenność jakości. Halévy nie dziwi się, że masy, zdobyte dla wiary w równość i ludzkość, odmawiają raoji istnienia ideom przeciwnym. Tak one zawsze postępowały od Pitagorasa do Arystotelesa w stosunku do idei równości i posądzały wyznawców o najniższe pobudki. Jaki zaś jest stosunek Holévy'ego do grup politycznych, wyznających ideę równości, świadczy jego wyznanie, że to partje, których zwycięstwa są cmentarzami idei, duchowości i sztuki. Lewica ma dla mas obietnice skarbowe, dla przywódców zaś i ich klienteli rzecz bardziej dyskretną: eksploatację państwa. Przekształceniu bowiem uległo pojęcie urzędu. Dawniej był on uzupełnieniem majątku, zaszczytem. Mac Mahon, ostatni człowiek dawnej Francji, opuścił pałac elizejski biedniejszym niż wszedł. Jego następca, Grévy, jest pierwszym z nowej Francji, wyszedłszy z tego samego pałacu bogatszym. W tej bowiem nowej Francji państwo jest tylko prawnie własnością wszystkich obywateli, w istocie zaś rzeczy staje się źródłem eksploatowanem przez radykałów: z jednej strony partja zdobywa rząd, rozdziela stanowiska, przyozdabia orderami swych przyjaciół; z drugiej — wiąże ludzi, uzależnia od siebie. Nawet w parlamencie minister radykalny sprytnie skierowuje przykrą sprawę na inny tor: regardez du côté de vos circonscriptions — rzuca posłom.

Rewolucja urzędów, system łupów, znany rzekomo tylko Ameryce, zaczyna się od r. 1879. Od roku 1900 radykali korzystają z pewnego jakby prawa do urzędów państwowych, które nabierają coraz więcej cech własności nieodwołalnej. Rządem radykalnym jest ten, który nie dotyka swoich. Zaczyna się system protekcyjny. Nikt poza radykałem nie ma prawa bytu w organizacji państwowej. Stąd rozbicie wojska i marynarki, gdzie jeszcze znalazły przytułek dawne rządzące warstwy. Ale stąd i nadużycia, niemal ciągle nadużycia, i skorumpowanie życia publicznego. Miljony, zagarnięte kongregacjom zakonnym, poszły do kieszeni radykalnych partyjników, trochę na „dziewczynki" i trochę na gry giełdowe — wszystko zaś w imię przejęcia dóbr zakonnych przez skarb państwa. Prasa staje się sprzedajna, służąc każdemu, kto zapłaci, choćby to był nieprzyjaciel Francji. Polityk — złośliwie zauważa Halévy — staje się pasorzytem narodu, pasorzytem państwa, by stać się w końcu pasorzytem oszusta (Stawiski). Nieustanne, zazdrośnie strzeżone piastowanie ministerstwa spraw wewnętrznych zapewnia technicznie ciążenie radykałów na polityce III republiki. W tłumaczeniu tego faktu daje Halévy upust swej ironji: dla kierowania ministerstwami technicznemi trzeba coś znać, radykali zaś znają bardzo mało.

Nie mógł Halévy oczywiście pominąć wybitnych lub tylko głośnych mężów stanu. Entuzjastyczną ręką szkicuje sylwetki Clemenceau'a, Poincaré'go. Jest Ledru - Rollin, do którego sięga tradycja radykalna. Jest Combes, niemal zawodowy antyklerykał. Jest Waldeck - Rousseau, zwany przez L. Daudeta adwokatem Izraela przeciwko Francji. Jest Briand, którego karjera polityczna jest jednym ciągiem zdrad, a o którego stycznościach z sądami karnemi ogłosił niedawno Ch. Maurras cały tom p. t. „Cassier juridique d'tristide Briand". Jest Caillaux, odznaczający się poczuciem władzy. Jest Herriot, którego tragedją sprzeczność dwóch formuł: to, że lubi przemawiać i chce się podobać, z tem, że być mężem stanu znaczy decydować i mieć odwagę się — nie podobać. Nie brak Chautemp'a, Daladier'a i Frot'a.

(Dokończenie na str. 10-ej)

Natomiast tak zwana gospodarka planowa, związana wskutek zastąpienia tych skłonności przymusem, nie posiada żadnej busoli dla oceny zgodności swych rezultatów z dobrem ogólno - społecznem poza wolą kierownictwa. W swej formie krańcowej, kolektywizmu, musi ona prowadzić do zupełnego skrępowania człowieka, ubożenia społeczeństwa i zerwania z dotychczasową cywilizacją i kulturą ludzkości.

Widzimy więc, że zarówno bezwzględny liberalizm gospodarczy jak kolektywizm nie są zgodne z interesem gospodarczym społeczeństw, z ich pomyślnym rozwojem gospodarczym i kulturalnym. W każdej zdrowej organizacji społecznej muszą istnieć obydwa pierwiastki, wolności i przymusu, celów i środków narzucanych niejako z zewnątrz przez organizację społeczną i swobodnie wybieranych przez jednostkę, — odpowiednio do zadań chwili udozowane. O stopniu wzajemnego ustosunkowania tych pierwiastków ekonomika nie może powiedzieć nic konkretnego, gdyż to jest zagadnienie, które nie może być rozstrzygane abstrakcyjnie, tylko na gruncie analizy każdorazowej konkretnej sytuacji i każdorazowej treści panujących konkretnych jednostkowych motywów działania, które ekonomika traktuje przedewszystkiem formalnie. Jedno jednak może ona sformułować ogólne wskazanie, że przymus nie może pod groźbą niepowodzenia ustroju podcinać zasadniczej podstawy rozwoju społecznego, tj. oparcia pomyślności gospodarczej społeczeństw na wolności gospodarczej i interesie osobistym jednostek jako głównym motorze ich działania, którego zastąpić nie może działalność zbiorowa, prawno - publiczna. Zbyt często zapomina się o tej kardynalnej zasadzie w obecnych czasach przy krytyce współczesnego ustroju, przy reformowaniu go i próbach zastępowania go nowemi formami ustrojowemi. Nieświadomie, odżegnując się od kolektywizmu, nowe te formy ustrojowe często posiadają cechy, które prowadzić je muszą nieodzownie w drodze ewolucji — wbrew nieraz chęci twórców — do kolektywizmu, lub też odrazu są tylko maskowaną, występującą pod inną nazwą, formą jakąś specjalną kolektywizmu.

Z powyższego przedstawienia podstaw ustroju gospodarczego wynika, naszem zdaniem, że ramy, w jakich się on może zmieniać, są dość wąskie. Nie może się on nigdy oprzeć ani tylko na przymusie, ani tylko na wolności, lecz musi kombinować z sobą stale te dwa elementy. Może się on wahać między temi dwoma krańcami, nigdy ich jednak nie może osiągnąć. Nigdy nawet nie może się dość zbliżyć do jednego z nich, bo groziłoby to unicestwieniem drugiego pierwiastka. Nic to dziwnego, bo wszak o ustroju społecznym muszą z punktu widzenia gospodarczego decydować zasadnicze pierwiastki wszelkiego gospodarowania, które są w gruncie rzeczy, a przynajmniej praktycznie biorąc, niezmienne. Są niemi charakter przyrody i duszy, psychiki ludzkiej. One w ostatniej linji decydują o stosunkach społecznych. Na przyrodę możemy wpływać tylko w pewnej mierze, zwalczając jej ograniczoność zapomocą postępu nauki; nieograniczony jednak rozwój potrzeb ludzkich przeciwdziała skutecznie tym wysiłkom, wyznaczając granice osiąganych tą drogą rezultatów. Tem większe więc znaczenie dla funkcjonowania ustroju społeczno - gospodarczego posiada wartość jednostek, stanowiących podmioty tego ustroju, wartość człowieka stanowi to dalsze uzasadnienie dla postulatu wolności gospodarczej.

Przechodząc mianowicie od zakresu formalnych badań ekonomiki do rozważenia treści i rodzajów motywów ludzkiego działania, wyrazić należy przedewszystkiem zasadniczą wątpliwość, czy ustrój społeczny może jakiemikolwiek formami przymusu zmienić zasadnicze instynkty ludzkie, jak to twierdzili racjonaliści XVIII w. Główna jego rola polega raczej na ułatwianiu powściągania złych skłonności ludzkich, a ujawniania się dobrych, na pewnych sugestjach, wywieranych na duszę ludzką. Wpływ jego jest pozatem, zdaje się, bardzo ograniczony. Bezwątpienia wysoki poziom uczuć ludzkich trudniej się ujawni w skutkach w niedostosowanym do niego ustroju, niż w dostosowanym. Wydaje się jednak pewnikiem, że dużo łatwiej da sobie zawsze radę wartościowe społeczeństwo ze źle zorganizowanym ustrojem, przystosowując do siebie jego funkcjonowanie i przerabiając go stopniowo, niż najidealniejszy ustrój społeczny, mający jako swój podmiot społeczeństwo o niskim poziomie instynktów i uczuć, rozporządzające jako środkami oddziaływania przedewszystkiem przymusem. Dlatego to właśnie zagadnienie wolności posiada tak zasadnicze znaczenie dla ustroju gospodarczego. Przymus nie jest nigdy czynnikiem podnoszącym, uszlachetniającym, rozwijającym altruizm w duszy ludzkiej. Może on wywołać przejściowo pewne dobre przyzwyczajenia, nawyki zewnętrzne, lecz nie może wpłynąć zasadniczo na uczucia, na strukturę moralną człowieka. Przy nie dającej się zaprzeczyć przewadze wrodzonych instynktów egoistycznych w psychice ludzkiej, której postęp kultury nie zdołał dotychczas usunąć i zapewne nigdy nie usunie, przymusowe ograniczanie wolnego działania i interesu osobistego musi wywołać ograniczanie wysiłku ludzkiego. Utrzymać wysiłek ludzki na maximum przy równoczesnem ograniczeniu korzystania z jego owoców, może tylko dobrowolne opanowywanie swych instynktów, ograniczanie swych egoistycznych tendencyj, swego „ja", przez człowieka. Tego aktu wewnętrznego, dobrowolnego, może dokonać tylko miłość działająca w duszy ludzkiej, ta forma wszelkich cnót ludzkich, przedewszystkiem zaś społecznych. Miłość tylko bowiem może poddać jednostkę celom wyższym od niej, poświęcić jej egoistyczne instynkty, celom nadjednostkowym, nadludzkim, absolutnym, uczynić z nich własne cele jednostki. Ona tylko może dać jednostce siły do dokonania owego wielkiego dzieła, doskonalenia wewnętrznego, ona bowiem jest najskuteczniejszą dźwignią duszy ludzkiej, jest, jak powiada pięknie św. Tomasz z Akwinu, „udziałem w Duchu Świętym, zdziałanym w duszy ludzkiej przez Boga."

REMIGJUSZ NEY

Kino w pryzmacie kultury współczesnej

Można się spierać w dalszym ciągu o to, czy film jest sztuką, czy nią nie jest, ale niepodobna nie przyznać, że problem kina stanowi dzisiaj jeden z najpoważniejszych problemów kultury. Stajemy przed ciekawem dylematem: czy film dopomoże kulturze do wybrnięcia z matni, w jaką weszła, czy też ją jeszcze gęstszemi uwięzi ljanami? Czy ten owoc naszej kultury nie spiknie się na jej kompletną zgubę?

Nie jestem kinomanem. Ale w ostatnim czasie coś mnie ciągnęło do kina. Kto wie, może to djabełek filmu, wylegujący dowoli w orkiestrowem pudle pod ekranem, pustem od czasu skonu wiadomego Niemowy — uwziął się, by mnie przekonać do filmu i stawiał gdzie się dało niewidzialne przynęty, na które dawałem się bez woli łapać. Dość, że popełniłem przyzwoitą ilość grzechów z 10 Muzą, których owocem — poniższe uwagi.

Film jest sztuką (sztuką w najpopularniejszem znaczeniu) syntetyczną i o piętnie wybitnie demokratycznem. Wagner pracował nad stworzeniem takiego rodzaju sztuki, któryby łączył w sobie dźwięki, słowo i obraz. Była to opera. Wyspiański widział w operze przedewszystkiem widowisko ludowe, działające bezpośredniością wrażeń. Otóż film może właśnie zająć miejsce tak rozumianej opery. Dlatego nie teatr staje się zagrożony przez film, ale opera. Z tej strony otwiera się przed filmem niesłychanie rozległa perspektywa rozwojowa. Opera, która zawsze zresztą chromała i chroma, której zawsze na czemś zbywa, która nie może sobie jakoś poradzić z harmonijnem dostrojeniem elementów w niej zawartych, która od czasów twócy swego, Wagnera, nie postąpiła ni o krok naprzód — dzisiaj jest już tylko anachronizmem. Zwłaszcza w zestawieniu z filmem, na którym znać jednak ciągły rozwój, ciągłe doskonalenie się. Gdyby Wyspiański znał film, niewątpliwie odkryłby w nim dużo nowych rzeczy, podobnie jak dużo nowych rzeczy odkrywał tam, gdzie inni nic znaleźć nie byli zdolni. Ciekawa rzecz, że sam Wyspiański ujawniał niejaką predylekcję do posługiwania się pomysłami i schematami, które nazwalibyśmy dzisiaj kinowemi. Według relacji B. Raczyńskiego takie kinowe walory posiadał II akt opery „Lilje“ w niezrealizowanej koncepcji Wyspiańskiego. Abstrahując od tego, nie wiele się ryzykuje, mówiąc, że film jest ostatnim stadjum rozwojowem sztuki ludowej (nie w znaczeniu twórczem lecz odbiorczem), podobnie jak pierwszem jej stadjum były widowiska dramatyczne starogreckie, a później misterja średniowieczne. Przytem ma film tę stanowczą przewagę nad operą, że przynosi ze sobą nowy, dominujący w nim element — element ruchu, o który nadaremnie obijały się wszystkie usiłowania techniki operowej. Dzięki elementowi ruchu film rozporządza o wiele szerszą skalą możliwości artystycznych, zdolną ogarnąć wszystko. Opera jest w naszej epoce przeto najzupełniej zbędna.

Jeżeli chodzi o stosunek filmu do innych sztuk, do literatury, czy teatru, czy muzyki, to nie sądzę, by mogły one widzieć w filmie konkurenta, w tym stopniu, o jakim się mówi powszechnie. Dobra książka, dobry teatr, dobra muzyka klęski nigdy z tej strony nie doznają. To jest dziedzina **czystej** sztuki, czystej twórczości. Dzieła **par excellence** artystyczne powstają w atmosferze arystokratycznej, nie skażonej nie zawsze wybrednemi apetytami mas. Przedmiotem teatru, dysponującym ograniczoną ściśle ścianami kulis przestrzenią, z konieczności stają się przedewszystkiem elementy dogłębne, a więc finezje psychologiczne, intelektualne, problematyka życia itd., które odda z plastyką, jaka leży w zakresie jego możliwości. Dzięki temu też odbiorcy jego rekrutują się przeważnie z warstw inteligenckich. Podobnie ma się rzecz z literaturą, muzyką, sztukami plastycznemi. Każda z tych sztuk rozwija się mocą własnych praw autonomicznych, nie wchodząc w kolizę z innemi. Operując wyłącznie swoistym materjałem: słowem, dźwiękiem lub kształtem i barwą, stwarza dzieła jednolite, jednorodne, czyste. Stoją same dla siebie, dumne potrosze ze swego osamotnienia.

Do czego w konsekwencji zmierzamy? Otóż do tego, by wykazać, że zsyntetyzowanie sztuki nie jest w antynomji z sztuką czystą jednogatunkową, i że taka zsyntetyzowana sztuka **in nuce** zawiera sporą dozę wulgaryzmu, łagodniej i lepiej — popularyzmu, skoro w swej strukturze kompozycyjnej posługiwać się musi metodą niezbędną uproszczeń, skrótów i łatwizn. Ponieważ jest konglomeratem wielu elementów sztuki jest rzeczą zrozumiałą, że żaden z nich nie może zachować swej nienaruszalnej samodzielności i odrębności, będąc oddany na całkowity użytek teleologicznemu zsyntetyzowaniu. Przez to właśnie taka sztuka stanowi idealny bo nietrudny przedmiot wyżywań estetycznych ludzi „na codzień“. Wszelkie dane potemu, aby stać się ową sztuką syntetyczną ma — kino.

Kino działa na widza bezpośrednio. Widz ma przed sobą kawał płótna, na którem dzieje się wszystko. Rwący potok obrazów przepływa przezeń jak przez wiadukt, czyniąc złudzenie życia. W momencie widzenia poszczególnych obrazów odnosi się wrażenie czegoś nieskoordynowanego, chaotycznego, co dopiero wola reżysera kiełzna i wprowadza w regularne łożysko. Rzadko kiedy można powiedzieć w trakcie wyświetlania oryginalnego filmu, czy wszystko jest konsekwentne, celowe, czy ten lub inny wątek zbędny lub niezbędny. Stąd koniec filmu staje się dopiero momentem wylotu wstecznego rewidującej i wartościującej myśli. Mowa tu, trzeba podkreślić, o filmach nawskroś oryginaln., w których rola schematów konwencjonalnych do minimum zniżona. Działając przeto bezpośrednio **obrazami** na widza, film wywołuje u niego silniejszą reakcję, silniejsze oddźwięki psychiczne niż np. tekst literacki na czytelnika. Tam cała treść przedostaje się do odbiorcy za pośrednictwem **słowa**. Słowo zaś stwarza wstydliwy dystans. Słowo łagodzi ostrość obrazów i t. p. treści. Słowo odsuwa, odpycha czytelnika od estetycznej rzeczywistości, czem nowe walory estetyczne dziełu przysparza.

Dzięki temu i dzięki wspomnianemu już demokratyzmowi sztuki syntetycznej tj. filmu, etyczna klasyfikacja jest tu bardziej nieodzowna, niż gdziekolwiek indziej. Dopóki widz przebywa na seansie, dopóty **wierzy** w to, co widzi. Wiara jest poniekąd zawarta w jego postawie estetycznej. Z tej przyczyny łatwiej ulega wpływom różnego charakteru, idącym z ekranu, łatwiej u niego o odruchy różnych kategoryj. Doskonale da się kino użyć do propagandy politycznej, jak wogóle do wszelkiej propagandy. W filmie najsilniej działają na widza takie momenty, w których występuje masa ujarzmiona, skoordynowana, spojona jedynym rytmem. W duszy widza odzywa się tego rytmu rezonans, budzi się w nim już nie zew krwi, ale zew instynktów gromadzkich, zdolnych do potężnej eksplozji.

Ale daleko ważniejszą jest rola, jaką odegrać potrafi film w kulturze. Niewspółmierność dwu zasadniczych grup, składających się na całość kultury grupy producentów i grupy konsumentów (wyeliminujmy z tych terminów ich ekonomiczny charakter) jest jednym z jej największych mankamentów. Ostatnia jest nieproporcjonalnie wielka w stosunku do pierwszej. Jest to fatalne rekwizytorjum czasów minionych, które mści się dzisiaj na wszystkiem, a które polega na tem, że ludzie twórczy tworzą dla samych siebie, wzbogacają samych siebie, zapładniają samych siebie, zaś masy bierne pod względem wytwórczości kulturalnej zdane są na łaskę niechlujnych produktów eksportowych pseudo - artystycznych „trzaskanych“ na akord przez fabrykantów wiadomej najczęściej genealogji. Dzisiaj taki stosunek winien ulec radykalnej zmianie. Potrzeba czegoś, coby stało na przełęczy dwu tych grup, coby ów przedział niwelowało, coby sprawiało, że jednaby z drugą współpracowała. Tę rolę może i powinno pełnić — kino. Kino dzięki swej władzy — wychowawca i budziciel świadomości kulturalnej szerokich mas, kino — sit venia verbo — potężny twórca kultury. Za jego sprawą „szary człowiek“ przestanie się czuć pionkiem utkwionym nieruchomo w bezmiar zjawisk kulturalnych. Jest to film — przyszłości (niestety, niestety).

ALEKSANDER ROGALSKI

Kompleks nieba Skiwskiego

Na jednym z czwartków literackich wygłosił jak wiadomo p. Skiwski odczyt pt. „Stosunek religji do kultury“. P. Skiwski zastrzegł się, że nie będzie poruszał zagadnienia częstego w publistyce dziennikarskiej: czy religja sprzyja lub nie sprzyja postępowi, lecz podejdzie doń z innego stosunku: czy między religją a kulturą istnieje antynomja czy też nie istnieje. Po tem zastrzeżeniu daje następującą „definicję“ religji i kultury: „Przez religję rozumiem stosunek człowieka do świata nadprzyrodzonego, zaś przez kulturę ogól działalności na polu cywilizacyjnem (czy nie tautologja?)“.

Punkt wyjścia dla wywodów stanowi Ewangelja. Otóż p. Skiwski nie znajduje w Niej zrozumienia dla spraw kulturalnych. Przedmiotem Ewangelji jest stosunek człowieka do człowieka i do Boga, nic więcej.

By sobie jakoś poradzić z problemem, prelegent zacieśnił temat w ten sposób, że zamiast ogólnej religji wziął pod „skalpel“ katolicyzm, zamiast kultury wogóle — literaturę, mian. powieść i to powieść właściwie realistyczną.

Na takiej to platformie zajął się badaniem stosunku postawy twórczej artysty do postawy religijnego człowieka i doszedł do wniosku, że bezwzględnie jedna drugą wyklucza. Albo jest się twórcą, albo jest się człowiekiem religijnym. Za ilustrację powyższego rozumowania posłużył mu pisarz osobiście najbardziej znany, Franciszek Mauriac, pisarz, którego Skiwski uważa zarówno za wybitnego artystę jak i za rasowego (!) katolika, a w którym jednak widzi bardzo jaskrawo się przejawiającą antynomję między dwiema owemi postawami.

Z takich przesłanek wyciąga wniosek: Im bardziej którakolwiek sztuka zbliża się do życia, tem kontrast powyższy zarysowuje się silniej, im zaś jest ona bardziej abstrakcyjna, tem widoczniejszy w niej brak ostrości tej antynomji, aczkolwiek i tam ona istnieje. Katolik, wyznawca jakiejkolwiek religji chce życie doczesne kształtować na modłę wieczności, chce rozbudować wieczność, skracając doczesność. Artysta zaś pragnie, aby życie było takie, jakie jest, nie walczy z grzechem, owszem grzech mu jest potrzebny jako materjał twórczości. Tak więc wzajemne wykluczanie się religji i kultury jest wyraźne.

Gdy się czytuje p. Skiwskiego na temat religji i gdy się wysłuchało jego odczytu, po tem wszystkiem nasuwa się nieodparcie przypuszczenie: P. Skiwski cierpi na sui generis **kompleks nieba.**

P. Skiwski jest entuzjastą kultury, co jest bardzo piękne, a z drugiej strony brak mu odwagi zrezygnować z myśli o szczęściu, jakie obiecuje wiernym religja. I chciałby i boi się... Jakto, myśli sobie, cale życie położone w ofierze kulturze, cały ten trud, cała ta praca poświęcona kultowi i realizowaniu piękna — wszystko to nie liczy się absolutnie, nie znajduje miejsca w bilansie uprawnień do Królestwa Niebieskiego? Można być genjuszem, a mimo to być zerem z punktu widzenia religji, nędznym grzesznikiem, marną istotą, na litość ledwo zasługującą? Dalibóg, nie ma ta religja ni cienia szacunku dla sztuki, dla kultury, dla artystów. Przeto ja, Emil Skiwski, nauczę ją moresu, gdy powiem kategorycznie, że sztuka i kultura za nic sobie mają to, czy relija uzna je lub nie uzna, skoro one mają własną, niezależną wieczność, trzecią rzeczywistość, wystarczającą im w zupełności, i gdy religję potępią za to, że artystę rozpoławia, że mu przeszkadza w pracy twórczej, że marnotrawi jego energję, rzucając go niepotrzebnie między dwa żarna. W interesie artysty szczerego leżałoby zerwać z podobnemi konfliktami, utrudniającemi mu dojście do pełni artyzmu. Dowodem tego — Mauriac. Biedaczysko. Czyż nie powinien on być groźnem memento dla wszystkich twórców, S. O. S. przed molochem religji.

Taka jest podstawa nielogicznych konstrukcyj logicznych p. Skiwskiego. P. Skiwski tezę swą o antynomji m. religją a kulturą wypowiada z miną rewelatora prawdy, co wyskoczyła zeń jak Atene z głowy Dzeusa. Ależ to jest rzecz, którą każdy chyba uzna, nie uciekając się do jej wartościowania i to wartościowania negatywnego, jak to uczynił niedwuznacznie zaiste p. Skiwski. Jest antynomja, to i dobrze, że ona jest, bo wtedy życie, a tem bardziej kultura ma sens.

LIST DO CZYTELNIKA

W sprawie „Goga“ i „Księgi z San Michele“

Lwów, w listopadzie.

Jeśli mi wolno podzielić się uwagami, jakie mi nasunęła lektura, to wyznałbym w pierwszym rzędzie, iż „Księga“ wydaje mi się w swej najistotniejszej treści apoteozą domu własnego, przesiąkniętą nawskroś poetyczną tęsknotą. Apoteozą tego kąta na świecie, gdzie człek może wylizać cięgi otrzymane w mniej lub więcej sławnym boju życia, zapomnieć o nich w bezcennej chwili wytchnienia, o kłach i pazurach partnerów jedynej gry, by wypoczętym i odrodzonym stanąć w szeregu jednej z dwu wieczystych armij.

Świeży, młodzieńczy niemal, a tak potężny talent (czasem też i pomyłki potężne) wzbudza nieodparcie zaciekawienie, jak też się odbije odzyskanie wzroku (to uchylenie ziemskiej półśmierci) na duszy, na myśli i na twórczości A. Munthe'a. Warto pożyć jeszcze parę lat, by to, o ile się da, w calej pełni móc osądzić. Książka rzeczywiście jest z wielu względów rewelacyjna, a przytem bardzo mądra. Bez cienia przesady na ogromnej przestrzeni 420-tu dużych stron znaleźć umiałem jedno tylko oczywiście, rzetelnie i potężnie głupie zdanie o kościołach i szpitalach (215-6) i jeden czy dwa, według mnie zupełnie zbyteczne pasusy obscoena. Pozatem z radością przyznaję, iż jest to przepyszna arcynaturalna, tryskająca życiem jak czysta dziewczęca młodość, mądrze dobrotliwa jak praktyczny katolicyzm na codzień. Po przeczytaniu nigdy nie uwierzę, iż Munthe jest w głębi duszy jakimś tam protestantem „czy innym heretyckim obijantem“ ciemnej a napuszonej i śmiesznie bezczelnej wędrówki po niepoznawalnem. Jeżeli nie jest już formalnym katolikiem, to napewno — wbrew pewnym pozorom z symbolicznej sceny końcowej w „Księdze“ przeżywa swój ciężki chestertonowski okres genezy „The Catholic Church a. Conversion“. Axel Munthe — dziwna mieszanina Gotty S., Bonselsa, Chestertona, Dickensa i — Papiniego. Z „Księgi“ bije w oczy absolutne zbagatelizowanie nadętego pseudomajestatu postępu i obwrzeszczanej nowoczesności. Tęgi lekarz neurolog - specjalista, zaprzysiężony przyjaciel wszelkiego typu zwierzaków, który tak świetnie zgłębił mit o lapońskich krasnoludkach, a tak gorąco wyśmiał próżność niby to wszechwładnej śmierci i — techniki zmaszynizowanego życia współczesnego. Brat najserdeczniejszy tejże śmierci ukoicielki, a równocześnie najlepszy choć surowy kompan życia. Bezlitosny sędzia utopijnej pogoni za marą szczęścia — i tego szczęścia żywiołowy twórca i klient (w znaczeniu familijnem!). Paradoksy zupełnie à la G. K. Ch.

Salwę zaczepno napastliwych pytań przeciw wolności woli i wyboru uczynku (str. 365) przebacza się autorowi w imię rozbrajającej ignorancji katechetycznej odnośnych dogmatów wiary katolickiej i w imię tylu innych prześlicznych naprawdę scen i stron, dających się porównać tylko z niektóremi opowiadaniami Franciszka Coppé'go.

„Księga z San Michele“ przez olśniewającą a bezpretensjonalną plastykę obrazów i pełną wykwintnej życzliwości dla ludzkiego rodzaju, nieco sarkastyczną myślą uderza w serce czytelnika gromem siły a w umysł błyskawicą naturalnego objawienia. Okrasza ją w dodatku humor o dworskiej niemal manierze, często zawrotnie głęboki w swej symboliczności. Proszę mi wierzyć, że gdyby nie to, iż w kolejnych zmaganiach życia gdzieś mi się łzy pogubiły do cna, ryczałbym z serdecznego żalu, iż Munthe dotąd nie katolik! Miałem też na taki wybryk ochotę na wieść jak to Najłaskawszy Stwórca go nagrodził, za dokonane dzieło ZWRACAJĄC MU ZWIERCIADŁO ŚWIATA.

Jednakże „Księga“ w mem pojęciu jako obraz duszy dzisiejszej i zwycięstwo dobrego serca jest mocno niekompletna. Tytułem wdzięczności zaproponuję próbę porównawczej lektury „Księgi“ przeplatanej ustępami dantejskich niemal obrazów atonji duszy, współczesnego hypermaterjalistycznego człowieka - monstrum — „Goga“. Wtedy dopiero, mocą kontrastu, zarysuje się ostro i z wszystkiemi blaskami, wystąpi piękno duszy z „Księgi z San Michele“. Proszę spróbować! Munthe i Papini uzupełniają się wprawdzie zbyt może groteskowo stylami literackiego wyrazu, ale zato świetnie się dopełniają i wykończają wzajemnie diametralnością ujęcia koncepcji.

Nic to nie szkodzi, iż technika pisarska obu dzieł jest tak różna: z jednej strony niemal ponura, syntetyczna satyra współczesnej nam doby, z drugiej — pamiętnikarsko-powieściowe („Gog“ jest także pamiętnikiem właściwie) méditations wyspiarza z Anacapri. Tu nasycona serdecznym humorem poetyczna legenda bogatego życia, tam — bezlitośnie szydliwa i okrutna ocena współczesnej ludzkości i jej „kultury“.

Właśnie takie zestawienie daje doskonałe zrozumienie pełni życia i jego kulminacyjno - przejściowej fazy (śmierci). Munthe, któremu do szczęścia potrzeba tylko chleba powszedniego, wina, słońca, pracowitego spokoju w skromnej chatce, a do towarzystwa paru analfabetów o prostotliwych i dobrych sercach, parę zwierzaków, no i — wspaniałego włoskiego wybrzeża morskiego, w nicość pogrąża bezwładną wszechmoc Goga. Ten skromny aparat do stwarzania zadowolenia w duszy właściciela San Michele to tak niewiele, — choć setki miljonów nawet i tego mieć nie umie. Tyle tylko pogrążającemu się w otchłań ciemnoty nieszczęśnikowi do szczę-

Gdyby sztuka w każdym momencie zgadzała się co do joty z religją, gdyby się one zawsze wzajem harmonijnie nakładały, czyżby nie straciły dla nas tej wartości, jaką mają? Pozbyłyby się dynamiki, ugrzązłyby w mdłości. Czyż, patrząc z punktu widzenia antynomji między religją a kulturą, czy sztuką, na twórczość np. Kasprowicza, nie dostrzegamy w niej wśród licznych załamań, klęsk i upadków w „wądąlce“ niewiary i buntu przeciwko „Temu, który był i jest z nami przed początkiem“ — ciągłego, dostojnego, deterministycznego pochodu artysty ku wspaniałemu celowi: harmonji artysty z człowiekiem religijnym? Czemże byłby Kasprowicz, gdyby nie był katolikiem?

Rozumowanie p. Skiwskiego oprócz wielu błędów, które ujawniła dyskusja, zawiera ten jeszcze, że prelegent bez żadnej podstawy obiera sobie za podpórkę dla swych „argumentów“ płynną, bo przecież ciągle in statu crescendi znajdującą się twórczość jednego pisarza, Mauriac jako pisarz żyjący, znajduje się w pełnym biegu swej twórczości.

Ale oto p. Skiwski zachodzi mu drogę i zatrzymuje go, wołając nań: „Hola, panie Mauriac! Stop. Proszę się zatrzymać. Ja w tej chwili zmierzę drogę, jaką Pan zrobił i zbadam sposób pańskiego biegu“. Z nieskończonego, czem jest przecież żywa twórczość pisarza, stwarza pan Skiwski coś skończonego: konstrukcję swych wywodów i uniwersalną tezę.

Przypuścmy nawet, że Mauriac ilustruje doskonale pogląd p. Skiwskiego, ale czyż z tego wynika, że p. Skiwski ma rację? Któż wreszcie może przysiąc, że sam Mauriac w jakimś tam okresie swej twórczości nie zachwieje tymże poglądem p. Skiwskiego?

Cała ta djalektyka z tego jeszcze względu wisi w powietrzu, że nawet gdyby u wielu pisarzy dała się wiadoma antynomja stwierdzić, nie miałby p. Skiwski prawa formułować swego poglądu w ten sposób, jak to uczynił.

Czyż w końcu naprawdę nie „liczy“ się twórczość kulturalna w ocenie religijnej? Czyż naprawdę ideałem człowieka religijnego, katolika, jest pełnić wszystkie przykazania i dbać o to, by tej jednobryłowatości duszy niczem, a zwłaszcza działalnością kulturalną nie naruszyć? Twórczość artysty, praca nad szerzeniem miłości dla Piękna, i nad Piękna urzeczywistnieniem nawet gdyby nie zawsze miało oczy utkwione w daleki punkt jakiejkolwiek religijnej realizacji — jest błogosławiona, jako **dobrorodna.** Artysta, posłużę się tu wyrażeniem częstem u p. Skiwskiego, artysta **szczery** jest typem człowieka niezwyczajnym. Jego życie, jak mówi Kasprowicz, to nieustanne spalanie się. To dopiero jest prawdziwie piękne, co przeszło przez ogień owej samoofiary. I to właśnie posiada ogromną wartość **etyczną.**

Pan Skiwski, entuzjasta Piękna, radby żywot (psychiczny) ułatwić artystom. Próżno się trudzić! Łatwe życie rodzi łatwizny. Któżby chciał wreszcie bieg rzeki odwrócić?

Wojsko dało początek

„Wiadomości Literackie“, znane z tendencyj komunistycznych i pacyfistycznych, od dawna prowadziły bezustanną kampanję przeciwko armji.

Uwidoczniło się to specjalnie w ostatnio zamieszczonym na łamach tego pisma artykule Zbigniewa Uniłowskiego pt. „Dzień rekruta“, zohydzającym bezprzykładnie armję polską.

W obronie honoru naszej armji wystąpili zdecydowanie dowódcy poszczególnych jednostek, zakazując abonowania żydowskiego pisma.

Tę zdrową reakcję armji społeczeństwo polskie przyjęło z gorącem uznaniem.

STANISŁAW ZIEMBIŃSKI

Muza Stanisława Młodożeńca

(Próba analizy)

Tomik poezyj „Futuro - gamy i futuro - pejzaże“ czyta się z zainteresowaniem. Poezje te są ciekawe jako dokument doskonalenia się poetyckiego, radosne jako dowód, że są jeszcze u nas poeci, którzy mają szczerość, bezpośredniość, siłę wyrazu i — talent.

Z przedmowy autora dowiadujemy się, że był on futurystą. Futuryzm dopomógł mu do zdobycia sobie jasnego, szerokiego spojrzenia na świat. Doszedł tam, skąd wyszedł — do rodzinnej wsi, na którą innemi już, bo poetyckiemi spojrzał oczami.

Trudno mówić o sobie objektywnie; wiersze wydają się przeczyć temu wstępowi. Nie widać, żeby poeta nauczył się czego z futuryzmu. Poprostu ulegał pewnym wpływom konwencjonalnym, sztucznym, niepolskim — otrząsnął się z nich, gdy tylko dojrzał prawdę, gdy tylko trafił na właściwy ton. Część pierwsza i druga pisane były w latach 1918—1922, jak się dowiadujemy ze wstępu. Poeta śmieje się jeszcze „jak buddyjska panna“, tumani go „przykucnięta postać kusa z buzią papuzią mistrza Tytusa“ (Czyżewskiego), a pisze tak:

„Wylęgło miasto na zdziwione miasto
Mąż z niewiastą —
— ramienieją.
Szewc się skrawczył
Krawiec zszewczył —
— ramienieją.“

Czytamy o tem, jak „na Eifla bursztynowej baszcie tańczy automobil z tankiem“, jest tam i „Hymn pokoju“ i „Nastrój“ i „Koniec Bombaju“ z dziwactwami futurystycznemi, z pod których od czasu do czasu nieśmiało jeszcze przebija się to rytm prawdziwy, a to obraz szczery, naprawdę widziany — zapowiedzi poezji:

„...a to mi gra —
to opętanie —
nie widzę łba
przy fortepianie, —
a ty — — — tańczysz...“

Pojawia się rytm, rytm prawdziwy, odczuty, tętniący we wrażliwości poety, biorący go we władanie, rytm tańca, rytm piosenki, który stanie się dominujący w późniejszych wierszach. Ostatni wiersz części futurystycznej: „Powrót“ ma symboliczne znaczenie dla twórcy — jest to powrót syna marnotrawnego z miastowej nauki na dobrocicki łan, śmiejący się doń nagle kolorami, muzyką, rytmami swojskiemi, bliskiemi, grający nowem, a tak dobrze znanem życiem. Melancholijny jeszcze jest ten wiersz, wałęsa się jeszcze po nim cień Staffa, konstrukcja łamie się jeszcze i rwie, ale jest zwrot zdecydowany ku nowej rzeczywistości.

W cytowanym już wstępie robi poeta żartobliwą uwagę:

„Ponieważ ostatnio wydobywam zarówno w wierszach, jak i w prozie głównie tematy wiejskie, dlatego też pewnie „uświadomieni“ krytycy pochopnie zaznaczyli swą satysfakcję w twierdzeniu, jakobym całkowicie miał się odżegnać od futuryzmu.

Swoje stanowisko w tej sprawie wyraźnie manifestuję na okładce, żeniąc dawność z teraźniejszością, a więc — „Futuro - gamy“ i „Futuro-pejzaże“.

O ile komuś to futro stanie zezem w oku, albo kostką w krtani, niech dla swego błogostanu zaklei je ładnie papierkiem: zostaną mu tylko „gamy i pejzaże“.

A dalej pisze o tem, że na wąkopie dobrocickim, do którego trafił, zasadza sztandar futuryzmu i pozdrawia swych dawnych futurystycznych komilitonów — Tytusa Czyżewskiego i Brunona Jasieńskiego. Bardzo to ładnie, że poeta nie wypiera się tych lat błąkania się po cudzych ścieżkach, bardzo ładnie, że nie wyrzeka się nawet swego starego sztandaru. Ale na wąkopie dobrocickim inny już sztandar powiewa, sztandar stary, jak Polska. I dlatego można z powodzeniem pójść za dobrą radą i zakleić te „futuro“ — choć słowo to jest poecie drogie jako wspomnienie; można nawet zarazem zakleić całą część pierwszą, pozostawiając ją krytykowi i historykowi literatury, badającemu dzieje talentu Stanisława Młodożeńca. Uczyniwszy to, zwróćmy się ku części trzeciej (pisanej w latach 1932—33), która kryje w sobie istotną wartość tomiku.

Wiersze te czyta się z radością, chłonąc ich świeżość po dziwactwach współczesnej poezji, fabrykowanej na wymyślnej, a często wymyślonej metaforze, skomplikowanej w swym słobym rytmie, zakłamanej.

Najbardziej charakterystyczną cechą muzy Młodożeńca jest właśnie rytm, zaczerpnięty bezpośrednio z tańców i przyśpiewek ziemi sandomierskiej, skąd poeta pochodzi. Bogactwo rytmu o wiele większe, niż melodji, bogactwo bujne, lekkie, żywe. Wesele wiejskie, żniwa, miądlenie lnu, młocka, nawet zwózka drzewa z lasu — wszystko ma swój rytm swoisty, mocny.

„Trzy miądlice w rząd
Niewiadomo skąd
Wicuś sprawił i oprawił...
To Kalita: „No!
No, dziewuchy, do roboty!“
Trzasło trzaskiem roztrzeszczanym
Zatrzaskały drzwi i ściany,
Trzeszczą płoty, w las wpadł potrzask —
Trzaska niebo w miądlic ostrzach — —
— Ostrzej!..
— Ostrzej!..“

A tu znowu wesele:

„Ani chybi — Rybik
pół jantała wypił —
to w ten smyk —
myk — myk — myk —
wydzira cieniutko —
smyk mu parska wódką. —“

A tymczasem w kącie:

„Tam się swatać — swatają
I kamracić kamracą
Krzywy Jadom z Bugaja
z rozchlajdanym Ignacem...
Kto ich grzmotnie, potrąci —
przepijają se w kącie.“

Rytm rośnie, wzmaga się, wybucha, to znów przycicha, to poważnieje, by znów zatętnić wesoło, a z temperamentem, bujnie, żwawo, z humorem. Konstrukcja Młodożeńca, budowa rytmiczna wiersza może dostarczyć wiele materjału do ciekawego studjum formy poetyckiej. Prostota jej nie jest prostotą tanią. A kiedy zabrzmi dobrze znany rytm:

„Ej — witajże Nowy jakiś
w białosiwej czapie.
Co to chaban tak ci zarżał —
wspina się i chrapie?!“

rytm Konopnickiej, Lenartowicza, Ujejskiego, to nie jest to reminiscencja tamtych, ale twór oryginalny, o tym samym wyniku, bo z tego samego, bogatego pochodzący źródła.

Rytm wydaje się u Młodożeńca kluczem do prawdy poezji, jaki znalazł, pozbywszy się snobizmu i sztuczności. Za nim poszły i inne wartości: mocne obrazowanie, bogactwo słowa, humor:

„Rozodziany z wszystkich szmat —
Wstydem stoi golas — las.
Ani głosu —
Skapcaniały stary dziad...

Kolanami wparł się w śnieg
Kikutami pod niebiosa.
Ani słowa, żeby rzekł —
Ani głosu.“

A wreszcie wartość, łącząca wszystko w jedną, harmonijną całość — idea. Wyrasta mocno w ostatnich wierszach tomu, wypowiada się wyraźnie w programowym, końcowym utworze — „Wyjaśnienie“:

„Dość już, dość delikatnieć
I pora nie jałowieć!
Chamstwo gruchnęło ostatnie
Na generalną spowiedź...

*

Gruchnęło chamstwo. Marsz nieregularny
I rytm chropawy, bo jeszcze...
Kiedyś słowiki tę ziemię zagarną
Dla chamskich słów — anielskich pieszczot.“

Jest w poezji Młodożeńca jeszcze jedna nuta warta uwagi. To brak momentu osobistego, brak egotyzmu i melancholji samotności tak powszechnej we współczesnych wierszach. Obecna poezja nasza jest bardzo liryczna i to sentymentalnie liryczna; brak w niej siły, brak przedewszystkiem męskości. Zamknięty w swojej skorupie, delikatny, wysubtelniony do przesady „artysta“ drży za lada podmuchem, podnieca się każdą trawką, którą dzieli na sto części, bada, rozpamiętuje. Odczuwa wszystkie drobne drgnienia, nieczuły na wielkie wstrząsy. Od czasu do czasu z dreszczykiem sensacji, z sentymentalnym odruchem inteligenta na urlopie pisze o „chlebnych rolach“, „znojnej pracy“ i „twardych trudach o chleb czarny“.

Poezja Młodożeńca gra mocną nutą. Nieobce mu piękno, które opiewa. Czuje mocny związek z ziemią, na której się urodził i z ludem, który mu ojcował. Poezja pełna jest męskiej swobody, pewności siebie, męskiej dumy i godności, przyjaznego, radosnego, spojrzenia zdrowego człowieka, zdolnego do prawdziwego entuzjazmu. Pojawia się nuta bardziej epicka, mniej egotyczna, bliżej nawiązująca do życia, nie uciekająca odeń. To duch czasu, który nareszcie i do sztuki przenikać zaczyna. Dobry to znak.

ścia potrzeba. Bo ma serce. Pieniądz nie jest wszystkiem.

A teraz Gog. Orgjastyczny, apokaliptyczny niemal histeryk fantasmagoryjnych zachcianek, fantastycznie obłędnych i kapryśnych pokus, łup i ofiara politowania godnych pożądań. Nigdy niesyty, głód ustawicznie nowych wrażeń, nowinek, niezwykłości, nieuleczalny przesyt wszystkiem możliwem, obłęd zwarjowanych wymagań w stosunku do bliźniego i ludzkości, w stosunku do społeczeństw i do siebie. Nieograniczony żądną żenadą cynizm, zwierzęcy hyperegoizm i zbydlęciały ultramaterjalizm. Beznadziejny zanik człowieczeństwa już nie chrześcijańskiego, ale zupełnie laickiego choćby punktu patrzenia, obskurna niewola trywialnego modernistycznego przerafinowania intelektu, zatrutego jadem piekieł, nieuleczalnie zapoznany cel życia — istna bestja ludzka. Idealna atonja serca i wynikła stąd przepastna wewnętrzna pustka. Zezwierzęcony i wyszukany, zimny jak lód, starczy w swej rozpaczy intelekt bez szczypty etosu w samokontroli. Nuda... nuda... nuda.. i — otchłań szatańskiego opętania. Jednem słowem Gog.

Jak Herkules człowiek współczesny zatrzymuje się u rozstaju dróg — przed bezkompromisowym wyborem dwu bezlitośnie i do ostateczności konsekwentnych łańcuchów poczynań i skutków. Do „być albo nie być“ dwu typów kulturalnego istnienia. Albo krzyż w cywilizacji, albo „cywilizacja“ bez krzyża. Papini i Munthe (dodajmy i Chestertona), oto przepyszny sympozjonistyczny wykwint dzisiejszej doby.

Dwa symbole świetnie określałyby te dwa złomy człowieczeństwa: Św. Franciszek z Assyżu i synteza Ezawa - Judasza z Krezusem - Kreugerem. Oczywiście synteza nasiąknięta gryzącym sączkiem współczesnej dekadencji kulturalnej i degeneracji psychicznej.

Ciekawe jest również zestawienie obustronnych skłonności do kolekcjonerstwa. Półślepiec z Anacapri zbiera namiętnie „roba di Timberia“; te symbole przeszłości i tradycji, wspaniałe resztki minionej chwały budzą w zbieraczu sentyment dla zapoznanego właściciela capryjskiej willi. Gog obłąkańczo, jakby z grymasem manjackiego błazna, kolekcjonuje arcykosztowne dowody swego niepokoju i systematycznej skądinąd swej anarchji dusznej — gdy równocześnie za murami jego rezydencji giną z głodu i braku pracy jego — bądź co bądź bliźni — pośrednio przezeń ongiś złupieni. Tam seraficzne niemal żniwo dobrotliwości serca, tu ponure, straszliwie sprawiedliwa i oczywista nemezis grzechu. I jeszcze jedno. Gdy mądry właściciel San Michele czyni swe poszukiwania z poetycznym polotem beztroskiego artysty, wskrzeszając najlepsze tradycje Horacjusza albo, jeszcze lepiej, naśladując niektórych bohaterów J. W. Locka, Gog miota się beznadziejnie w sieci swego nienasycenia, otoczony mroźnym, suchym, wrogim światem śmiesznych oszustów, błazeńskich zbrodniarzy i komicznie bezczelnych patentowanych plagjatorów idei zbawienia. Chwilami nasuwa się nieodparcie wspomnienie o Swifcie i Edgarze Allanie Poem.

Obie lektury bogate w pełną, przemyślaną i soczystą treść dnia dzisiejszego i wiekuistego sensu bytu. Oba dzieła staną się z pewnością nieśmiertelną spuścizną przyszłych pokoleń, jakkolwiek oba nieskąpo obdarzono aktualnostkami. Jeden i drugi dokument daje świetny wgląd w istotę najintymniejszą naszych czasów: zniewieściałe zrzucanie wszelkich więzów (za poduszeniem wszelkiego typu „dzieci szatana“), neobałwochwalstwo, przesyt i niepokój wewnętrznej pustki, nieuleczalną nudę poza momentami narwanego oszołomienia gorączką rozmaitego kalibru i różnego rodzaju „wyścigami“, mniej lub więcej nieuświadomiony głód szlachetniejszego uczucia i całą tę tak dobrze znaną z codzienności dziką nędzę współczesnego człowieka.

Lekarstw obaj autorzy „na łopacie“ nie podają ,ale z ogólnej treści same się czytelnikowi nasuwają: przymierze z żywą wiarą Kościoła, rehabilitacja praw serca, postawienie na szczycie praktycznego życia wszelkich twórczych obowiązków i więzów, żywszy a zdrowo pojęty, zdrową kulturą przygotowany kontakt z przyrodą.

Plastyka obu dzieł jest niezrównana. Opisy Munthe'a klęsk messyńskiego trzęsienia ziemi, życia sielskiego Anacapri, nędzy i cholery w Neapolu, straszliwy koniec Maupassanta i prześliczny obraz przeczucia nieba godne są zupełnie takich błyskawicowych rozdziałów z „Goga“ jak: „Pajdokracja“, „Myśli Ben Rubiego“, „Opowieść o wyspie“, „Przeciw niebu“, „Kupno republiki“, „Kraje idące pod młotek“, „Sklep Ben Hussaja“, „Przefasonowanie ziemi“, czy „Chleb dziewczynki“. Wyraz obu tych szeregów rozdziałów jest nawskroś wstrząsający. Mistrzowska ekonomja i prostota słowa wyciosuje cyklopicznej wagi zdania i ustępy. Dusze, charaktery i umysły osób są jak olśniewające portrety, niemal dotykalne w złudzeniu. Niesłychanie jasny i rytmiczny tok myśli Munthe'a, nieskazitelnie płynny, skondensowany, ostry i pełen spokojnego, opanowanego szyderstwa autora w stosunku do „bohatera“ styl Papiniego oto jedyna — raczej formalna — różnica większej wagi. Co uzyskuje Munthe drogą wprost, tego Papini drogą okólną dopina: dokumentne potępienie zdziczałego neopoganizmem współczesnego świata.

Takie ujemne pozatem drobiazgi, jak zbyt przesadna może miłość zwierząt u Munthe'a, zanikają w rozlewnym ogromie i harmonji całego dzieła tak doszczętnie, iż stają się niemal niewidoczne. Również „Gog“ nie straciłby nic na tem, gdyby się usunęło zeń takie epizody jak: „Niby zabójstwo“, czy „Chińska głębia“, nieistotne dla całości, a powiększające zbytecznie i bez tego imponującą mnogość i różnorodność punktów widzenia zasadniczej myśli dzieła. Ale to są już drobnostki wobec piramidalnej zaprawdę wyniosłości obu dzieł.

Aleksander Kośmiński

CZESŁAW PILICHOWSKI

Nieznany utwór regjonalny

Chciałbym się zająć nader ciekawym utworem[1]) poezji ludowej, stworzonym nie przez zawodowego poetę, ale prostaka - żołnierza, który wolne chwile poświęcił „Muzom i Literaturze", — F. L. Jaskólskiego.

Niewiele wiedzieć się można o jego życiu. Jak K. Estreicher wykazuje, nie jest to jego jedyny poemat[2]). Owoc, pisany wśród szczęku broni, trąb i bębnów, w ustroni lubej, ale zato wypływający z głębokiego ukochania ziemi kujawskiej, której zakątek: Bachorzę uczynił tematem swej muzy, poświęca J. Modlińskiemu, kawalerowi Krzyża Polskiego, z Sierzchowa, swemu dobroczyńcy i opiekunowi. W szczerości stworzony, w szczerości oddaje. To cel pierwszy, ale nie jedyny. Wszak przysłużyć się zamierza „przyjemnej okolicy". Nie dba zresztą o pochwały publiczne, o zdania krytyków, zdając sobie dokładnie sprawę, „że moje wiersze obok wierszy innych poetów, w tym guście piszących, są niczem".

Rzuciłem trochę światła na osobę autora, korzystając z materjału, zawartego w przedmowie. Ukazuje się w półmroku. Nie jesteśmy w stanie zdać sobie dokładnie sprawy, kto zacz jest, ale przekonujemy się o posiadaniu przezeń jakiegoś wykształcenia literackiego. W zapatrywaniach znachodzimy wiele naiwności, wiele nawet niedojrzałości poetyckiej, ale niema nic sztucznego. Ten brak sztuczności, ta bezwzględna szczerość uwydatnia się też w całym utworze.

Nim jednak zajmiemy się oceną utworu, konieczne będzie zorjentowanie się w czasie i miejscu akcji. Czas akcji stosunkowo łatwy do określenia. Rzecz dzieje się w miesiącach wiosennych: maju, ewentualnie w czerwcu, na co wskazuje np. święto Zielonych Świąt, które pasterze uroczyście obchodzą. Lata akcji: między 1824—6, kiedy jeszcze „kilkumilowe błoto, zwane Bachorzą"[3]), tkwiące „jakby plama na urodzajnych niwach Kujaw", zamienione „w pustkę nieprzebytą", było „schronieniem wilków i dzikiego ptactwa, siedliskiem szkodliwych febr i gorączek, przytułkiem miljardów dokuczliwych dla ludzi i bydła owadów". Właśnie tam pasali bydło kujawscy pasterze i tam poeta umiejscowił akcję. Rozgrywa się więc na Kujawach Wschodnich, przynależących do dawnego Królestwa Polskiego, we wsiach: Ujma Wielka, Ujma Mała (kościelna wieś), Różki (kośc. wieś), Siniarzewo, wszystkie nad Bachorzą. Zaraz w niewierszowanej przedmowie objaśnia czytelnika, że Kujawy



Kujawiak - powstaniec z okolic Kruszwicy.
Ze zbiorów T. Kaliskiego

— kraina bogata, piękna — toną wśród łąk i gajów z leśnego drzewa. Najobszerniejszą łąką jest owa Bachorza. Młodzież bydło pasie, starsi uprawiają rolę, kobiety nawet nie próżnują, zatrudniając się hodowlą trzody, przędziwem płótna, gospodarstwem. I tak całe życie Kujawiaka wypełnione jest ciągłą, mozolną pracą. Jaskólski stara się scharakteryzować typ kujawski, malując obyczaje jego i sposób myślenia. Stwierdził, że tak wyższe stany, gdzie szczerość, grzeczność, harmonja niepoślednie panują, jak włościanie, gdzie znowu bezpretensjonalna prostota, wesołość, pracowitość, zadowolenie z losu, gdzie niewielka pańszczyzna, a stąd możliwość pracy dla siebie samych: — tak wszyscy weseli i zadowoleni. I wydadzą się niejednemu Kujawy krainą szczęścia, gdzie ani się o co kłopotać, ani zabiegać. A przytem śliczne, zwyczajowe stroje Kujawian i Kujawianek, które w najdrobniejszych szczegółach opisał, ich czystość, chędogość i dobroć, pozwalają poecie uwydatnić niejako odrębność kujawskiego chłopa od chłopów innych dzielnic. Nie będę powtarzał za Jaskólskim opisu tychże strojów, jako też charakterystyki mowy kujawskiej, która —jak zaznacza poeta — ma wiele wspólnoty z mową reszty Wielkopolan, gdyż znaleźć opis ten możemy łacno u Kolberga i wszystkich tych, co się kulturą Kujaw zajmowali, ale dodam, że właśnie zabytek Jaskólskiego jest z tego względu cenny, iż utrwalone mamy w nim to, co niedługo zaginęło, a co oglądać obecnie możemy tylko po muzeach. A szkoda, gdyż strój stanowił zewnętrznie o odrębności naszego chłopa, świadczył o czystości jego rasy, jego charakteru chłopskiego, narodowego, który, gdy stracił, wnet się skosmopolityzował.

To jeden tytuł, — z punktu widzenia historji kultury — wartości tegoż zabytku.

Ten właśnie tytuł szeroki: historyczno - kulturalny możnaby zwężyć, omawiając opisane zwyczaje, które maluje drobnostkowo już w samych sielankach. Ze zabawowych uwzględnia króla pasterzy, z domowych: narzeczeństwo, wesele, a z tem: wyjazd do kościoła, opis uczty weselnej, czepiny.

Król pasterzy należy do zabaw Zielonych Świąt. Pasterze bachorscy bawić się zwykli. Ale nie sami. Umawiali się częstokroć z Helkami, Zośkami, by nucić im, na jarmarku posłyszaną, pieśń o owczarku, zalecać się i zdobywać serca. Zabawy wymienione należały do pospolitych, niewymyślnych. Najuroczystsza, najdalej tradycją sięgająca odbywała się właśnie na Zielone Świątki. Wesolił się wtenczas każdy. Lecz wesołość tem szczerszą bywała, jeśli wybór króla pasterzy przypadał na 1-go maja, jak to u Jaskólskiego czytamy. Widocznie — podkreśla Gołębiowski[4]) — przed zaprowadzeniem katolicyzmu do tegoż dnia przywiązaną była. Niewątpliwie łączenie genezy tejże zabawy z czasami tak odległemi może posiadać dużo racji. Z. Łepkowski[5]) posuwa się w swych dociekaniach jeszcze dalej, — mojem zdaniem niesłusznie, — że sposób przeprowadzenia tejże zabawy przypomina podanie o obiorze Piasta i Leszka.

Polega ona na tem, jak opisuje nam Jaskólski, a co przyznał później Gołębiowski i Kolberg, że w dzień Zielonych Świąt, kto pierwszy znajdzie się na błoniach ze swem bydełkiem, królował będzie cały rok w gronie pasterskiem, a kto ostatni, przez trzy dni pasał będzie bydło i cielęta z całej wsi. Jeśli kilku pasterzy razem się zeszło, urządzano wyścig: kto pierwszy przybiegnie, królem zostaje. Jesteśmy świadkami takiego wyścigu. Królową została Rozyna, królem Janek przed Kaźmierkiem. Po obiorze poddani składają swej królowej - pasterce podarki z kwiatów, nucąc piosenki, pełne przyjaźni, szczerości, naprzemian — to dziewki, to chłopcy. Następują mianowania: marszałka dworu, gospodarza, przygotowania do biesiady, wreszcie uczta. Umilają ją przyjemne rozmowy, wzdychania do swych wybranek, śpiewki beztroskie. Kuflami mleka piją zdrowie władców. Tak szybo mija czas. Przed zachodem słońca chwytają wołu Antkowego, bydło na noc pozostawiają, i w triumfalnym pochodzie udają się do wsi. Król, strojny w kwiaty z dwunastoma dworakami, królowa, ubrana w kamloty, z wieńcem z róż, merty i stokrotek na głowie, prowadzą cały pochód. We wsi sołtys okazały orszak wita wesoło i wdzięcznie. W karczmie tańce, wśród których rej wodzi kujawiak, kończą całe święto.

Bezwątpienia jest w całym tym obrzędzie dużo wpływu pogańskiego, wiele związku z najpierwotniejszemi wszystkich ludów zabawami. Zachował się ten zwyczaj na Kujawach dość długo, skoro jeszcze Jaskólski mógł być jego świadkiem. Nie oglądał go już w czterdzieści lat później Kolberg, i jak sam wspomina[6]), starzy ludzie tylko w szczegółach go pamiętali np. pochód z wołem. Zgodzić się wobec tego można z Kolbergiem, że nawet w czasach Jaskólskiego zwyczaj ten nie był powszechny, a tylko w niektórych okolicach się pojawiał.

Pozatem, jak już zaznaczyłem, cennem jest dziełko Jaskólskiego ze względu na opis zwyczajów narzeczeńskich i weselnych. Czas narzeczeński spędzają Kujawianie moralnie. Coprawda nie możemy obserwować czynności swatania, gdyż słyszymy tylko o nich, jednak przebieg wesela skreśla poeta drobnostkowo. Bez posagu gospodarstwa porządnego nigdy się nie obywa. Przygotowania do wesela czynią wielkie: pieczenie placków, kołacza, zabicie krowy, kupienie na jarmarku pannie młodej sprzętów, nowych sukien, syców, galonków, sukna i perkali, wyznaczenie drużbów i druchen, zaprosiny całej wsi i rodzinnych przyjaciół z okolicy bez względu na stan majątkowy. Wiadomo! Kujawiaka natura: — jak się bawić, to pełną parą, gromadnie. W dzień ślubu ze wschodem słońca drużbowie stroją ręczniki w kwiaty, wstążki. Druchny ubierają pannę młodę. Czas do kościoła. Drużba najstarszy prosi i w ostatnich słowach przypomina młodym ważność przedsięwziętego kroku, powinności nowe. Pan młody i 6-ciu drużbów na koniach, muzykanci z nimi, panna młoda w otoczeniu druchen i drużbów, wreszcie młode dziewki, mężatki, gospodarze — oto cały orszak w drodze do kościoła. W czasie jazdy śpiewki i muzyka. Młodzi idą do zapisu cywilnego, potem do świątyni, gdzie kapłan na wieczność ich łączy i poświęca. Z kościoła wygląd orszaku się zmienia. Nie prowadzą już panny młodej druchny, lecz mężatki. Z niemi też do domu jedzie. Tu



Wśród równin kujawskich.
Sosny w Kościelcu, pow. inowrocławski.
Ze zbiorów T. Kaliskiego

pierwsze koło tańców prowadzi pan młody z panną młodą. Zaczyna się poczęstunek. Kołacze, masło, sery, gorzałka wnet się na stole zjawiają. Dziewki kufle piwa wychylają. Wszystko tańczy, tańczy do upadłego. Około piątej godziny popołudniu odbywa się obiad, na który jako pierwsze danie wniesiono czerninę z gęsi — „żywioł kujawski, co za wszystko stanie". Po obiedzie znów pijatyka i tańce. Czyni się huczno, wesoło, zamaszyście. Czas czepić świeżą mężatkę. Zanim obrzęd ten się dopełni, każda druchna zobowiązana jest z nią raz potańczyć. Wreszcie drużba najstarszy wychodzi, bierze młodą mężatkę i w śpiewie oznajmia, że ostatni raz z nią tańczy. Potem jejmość czepi; rozplatanie warkoczy, ich postrzyżenie, włożenie czepka, — oto czynności czepienia. Tańce na nowo się rozpoczynają, gorzałka i miód stary się leje. Znowu placki, pieczone gęsi. Kończy się wesele śpiewem wieśniaków, zapewnieniem wesołości i tańców jeszcze częstszych, dłuższych.

Opis wesela, który tu może przydługawo postarałem się skreślić, uderza bogactwem szczegółów w sobie zawartych. Oczywiście możemy powiedzieć, że mamy do czynienia z typowym opisem wesela kujawskiego, które w wielu szczegółach odbiega od przyjętego wzorca. Ale to już nie kwestja autora, lecz kwestja środowiska, w którem podobny typ wesela zaobserwował. Gdyż łacno można zrozumieć, że i wesele kujawskie, zależnie od okolic, w jakich się odbywało, różniło się wzajemnie. Kolberg zna sześć typów wesel. I, jeśli skonfrontujemy nasz opis z kolbergowskimi, to przyznamy, że zasadniczych różnic nie dostrzeżemy, tylko w poszczególnych momentach. Dalej trzebaby zaznaczyć, opis ten ma z tego względu niemałą wartość, że nie oddaje nam rzeczy w suchych faktach, lecz tak, że nieledwie czujemy się gośćmi weselnymi w czasie czytania.

Dotychczas poznaliśmy dziełko Jaskólskiego od strony kulturalnej i obyczajowej. Wypadałoby się teraz zastanowić nad stroną etyczną bohaterów sielankowych. Gdyż, jak najogólniej stwierdzić można, sielanki te — to kompromis dydaktyzmu i prostoty.

Otóż zaraz w pierwszej sielance, p. t. nauka dla wnuków dziada starego, poeta przyobleka się w szaty starca, który udziela swych nauk wnuczętom. Dziad — to doświadczony bywalec, pasterz, rolnik i żołnierz w jednej osobie. Kierował się w życiu rozumem, męstwem i cnotą. Ten moment specjalnie w naukach podkreśla. Nic więc dziwnego, że czytelnik po przeczytaniu pierwszej sielanki jest już na moralne nauki samego poety przygotowany. Zresztą u niego etycznie wysoko stojącymi są wszyscy bohaterowie i bohaterki. To też stara się uczynić ich uosobieniem niewinności, szczerości i czystego sumienia. Rozyna i Stacho np. nie uchybiają moralności w czasie narzeczeńskim, pasterki za przymiot uważają niewinność, za bogactwo cnotę, zaś pasterze — wytrwałość i spokojność. Stara się dalej dziad wzbudzać w duszach pasterzy pragnienie wiedzy. Uważa bowiem, iż rolnikowi umiejętność czytania w niczem przeszkadzać nie będzie. A może się wybić i znaleźć między panami. Lecz wtedy niech nie zapomina o swem pochodzeniu. Uwaga ostatnia stanowi o zdrowym poglądzie autora na tę sprawę i dowodzi, że często zdarzały się podobne fakty, iż chłop, stawszy się panem, powąchawszy nauki, uciekał i zapominał na zawsze o swej braci. Poleca pasterzom wierność wobec panów, szacunek wobec praw. Jako zasadę naczelną stawia im poddanie się woli Boga Najwyższego. Wtenczas każdy z nich w osiągnięcie szczęścia na ziemi może wierzyć. Widać, że nauki starca skupiały dużo młodzieży wioskowej. Urządzał je zaś rankiem każdej niedzieli. Wpływ na słuchaczów wywierał niemały, jako, że opierał się bezpośrednio na życiu, na doświadczeniu. A wszystko urządzał, jak przypuszczamy, w tym celu, aby zachować możliwie największą moralność chłopa, a z tem, idąc dalej, czystość jego poglądów rasowych, szlachetną pierwotność.

Dalej chłopi Jaskólskiego owiani są zawsze troską o chleb, o zachowanie całości dobytku. Są oszczędni: w chustę zawijają pieniądze, by starczyły na czarną godzinę. Są przedsiębiorczy: szczególnie kujawskie kobiety, które bez wiedzy męża potrafią dukatów uzbierać „za gęsi, kapłony i kaczki, za len, za masło, ciołki i wieprzaczki." Są pracowici: gdy rolę uprawiają i w pocie cały dzień pracują, byleby za zboże jak największej u kupca w Nieszawie pieniędzy zyskać. To też kłopocze się chłop kujawski, gdy pieniędzy niema lub gdy kupiec-bankrut go zawiedzie. Czytamy w sielankach, jako Antek traci na bankructwie kupca. Córki swej bez posagu odpowiedniego z domu nie puszcza. I w tem, że się tak wyrażę, robieniu pieniądza przez chłopa kujawskiego nie brakło kupca — Żydka, jak zwykle Abrama. Wogóle możemy się domyślać, Żydki niemałą rolę odgrywać na Kujawach wschodnich musieli, skoro i krawcem — Joskiem, starozakonnym, „co dobrze wiejskie suknie robił", posługiwać się zwykli. Ten zalew żydowski i zależność od nich chłopa wypływał raczej z bliskości opanowanego przez żydostwo terenu t. zn. zaboru rosyjskiego, niż z sympatji do Żyda, którą się żaden chłop polski, a w szczególności kujawski, nigdy nie odznaczał. Raczej go nienawidzi żywiołowo, ale co ma robić, jeśli handel drobny i rzemiosło są przez nich opanowane, a Polak mało ruchliwy w tej dziedzinie, szybko wypychać się pozwoli. Stara to rzecz, na którą lekarstwo znaleźć się winno zawsze.

Postarałem się charakter kujawskiego chłopa oświetlić z dwóch punktów widzenia: etycznego i materjalnego. Jak dostrzegamy, u chłopa polskiego, w szczególności kujawskiego, istnieje troska o osiągnięcie jaknajwyższej postawy wobec tych dwu dziedzin. Już w młodości stara się zyskać niewątpliwy podkład przyszłego życia: wyrobienie moralne. Nauki starca, czy one odbywały się, czy nie, bo mogłaby zaistnieć taka ewentualność, skoro autor chciał zadosyćuczynić ogólnej konwencjonalności poetyckiej, świadczą właśnie o potrzebie, a zarazem jednej świeżości, czystości, o sile duszy chłopskiej. Nic dziwnego więc, że chłop jest zawsze szczery, prosty aż do naiwności, oszczędny i pracowity, że troszczy się o pieniądz. Wie bowiem najlepiej, że jedynie poprzez zaspokojenie potrzeb materjalnych może myśleć o zaspokojeniu duchowych. Ta myśl i pamięć o niej winny się stać punktem wyjścia w odrodzeniu naszego stosunku do chłopa.

Niewątpliwie w zamyśle twórczym Jaskólskiego utrwalenie strony obyczajowej, jeśli nie odgrywało roli równorzędnej z zamiarem stworzenia artystycznego utworu, to w każdym razie nadrzędną. Autor szczęśliwie uniknął w tem dziełku przeładowania obyczajowością, a z tem dysproporcji artystycznej, któraby mogła powstać, gdyby w toku samychże sielanek malował jeszcze stroje kujawskie. W ten sposób zadanie artystyczne i twórczy wysiłek sobie wielce uprościł, zamieszczając opis strojów w niewierszowanej przedmowie. — Mógł wtedy zaufać poetyckiemu instynktowi, że nie wykolei artyzmu tak w poszczególnych sielankach, jak i w ich całości. I, aż w wierszowanym wstępie, jak i w następnych dziewięciu sielankach stara się rozwijać pojedyńcze motywy, jakoby ze sobą najzupełniej niezwiązane, to jednak sielanki te — co dla nich jest nadzwyczaj charakterystycznem, stanowią właściwie całościowy poemat, gdzie i akcja jedna się przewija, gdzie wracają te same osoby, gdzie i konflikt się zadzierżga, gdzie — krótko ujmując — czytelnik się pasjonuje i zaciekawia. Stanowi to niewątpliwie plus artystyczny sielanek. — Ten momen zaważył na ich oryginalności i rysie indywidualnym.

1) Pasterze na Bachorzy. Sielanki Kujawskie. Przez F. (eliksa) L. J. (askólskiego) Podch. (orążego) wP. (ułku) 7. P. (iechoty) L. (injowej) W. (ojsk) P. (olskich) w Warszawie. W drukarni J. Wróblewskiego 1827. 12⁰. S. XII. + 108.

2) Bibljografja Polska St. XII. T. II. (G. - L.) Kraków 1874 S. 210.

Jako drugą pozycję pod F. L. Jaskólski Estreicher umieszcza: „Wiersz na zgon Aleksandra I." R. 1826, w 4-ce, S. 8. Dodaje, że Jaskólski wówczas był sierżantem. Jest to jednak drobna pozycja.

3) „Gazeta Warszawska", nr. 68, 13. IV. 1860.

4) L. Gołębiowski. Gry i zabawy. Warszawa 1831. S. 119.

5) J. Łepkowski. Czas (krakowski) 1863 N. 228.

6) Kolberg O. Lud. Serja III. Kujawy cz. I. Warczawa 1867 S. 241.

Sielanek, jak już wspomniałem, mamy dziewięć, pisanych trzynastozgłoskowcem. Rymy stosunkowo urozmaicone, rytm prawie zawsze prawidłowy. Często jednak wyczuwamy brak wykończenia artystycznego i pewne zaniedbanie literackie. Nie był tego powodem brak talentu poetyck., który w każdym nieledwie calu poematu znać, ale właśnie małe wykształcenie literackie, które nie pozwoliło poecie na wykończenie kunsztowne poematu, niejednokrotnie grzeszącego zbytnemi dygresjami treściowemi i dyswagacjami stylowemi.

Zawierają one w sobie moc motywów sielskich i uczuciowość sentymentalną. Ta ostatnia każe poecie malować miłość i stany miłosne.

Niema, co już kilkakroć podkreślałem, w kreśleniu tych miłości, jak i w samych sielankach żadnej przesady. Są to po prostu Teokrytowe obrazki wiejskie, pełne wdzięku, w których zjawiska życia i natury nie posiadają w sobie żadnego fałszywego zgrzytu, co się tak zdarza w naszej poezji Woroniczowi i Naruszewiczowi. Znajdujemy w nich sentymentalizm Karpińskiego, pamiętnikarza miłosnego, jednakże bez tej szablonowości, jaka cechuje tęsknotę tegoż poety za prostotą wiejskiego życia i czarem wiejskiej przyrody. Przypuszczam, że znał tych sielankopisarzy Jaskólski. Nie poszedł jednakże ich wzorem, przejmując raczej szczegóły, poszczególne motywy, naprzykład żale kochanki, podsłuchane przez kochanka. — Jaskólski wzorował się raczej na Jacku Przybylskim i Kniaźninie, zamiłowanym w „wiejszczyźnie“ i zbliżającym się ku istocie ludowego motywu. Zresztą i ten wpływ wydaje mi się częściowy: użycie swoistych, kujawskich imion — Marynia, Teklusia, Helka, Rozyna, Janek, Stacho, Kuba, Antek — bez balastu mitologicznego, tak silną odgrywającego rolę u Kniaźnina. Widzimy więc, jakie to najrozmaitsze wpływy krzyżowały się w twórczej duszy Jaskólskiego i jakie trudności musiała ona przezwyciężyć, by jakoś wybrnąć. Dzięki temu przezwyciężeniu sielanki wypadły nieźle. Nie dostrzegamy w nich żadnego motywu mitologicznego, żadnego wpływu klasycznego, nie widzimy szablonowej „literackości“, lecz tylko pęd za prostotą, szczerością w malowaniu bohaterów, w kreśleniu obrazów przyrody, które przed oczyma czytelnika przesuwają się barwnie i wyraziście: — w rysowaniu przeżyć wewnętrznych, ciągle różnorakich, kipiących życiem, w używaniu słów szczerze polskich, urozmaicanych przez wplecenie gwarowych. Szkoda tylko, że wydanie Wróblewskiego jest takie fatalne. Przestankowanie, ortografja niejednokrotnie pozostawiają dużo do życzenia.

W ciągu całego tegoż sprawozdania o dziełku Jaskólskiego, pamiętałem tylko o jednem — o wartości, jaką wszelkie utwory tego rodzaju stanowić mogą dla naszej literatury i, jak poprostu domagają się, aby wreszcie zajęto się niemi.

I sądzę, że będę konsekwentny w myśl dotychczasowych wniosków, jeśli powiem, iż ten zabytek naprawdę w naszej poezji ludowej stanowi pozycję bodaj najistotniejszą, że wart jest, aby go jeszcze raz wydano. Bo, czytając ten poemat szczery, czujemy, że nie tworzył go żaden „l'homme sensible“, a z tem pewni być możemy prawdy artystycznej, z jaką Jaskólski maluje wieś, przyrodę i szczęście na jej łonie. Ten wdzięk bezpretensjonalny i ta prawda sielska — oto cała wartość utworu ludowej poezji.

HILARY MAJKOWSKI

FRANCISZEK PODEŠVA

(Wystawa indywidualna w poznańskiem Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych)

Na zaproszenie poznańskiej grupy artystów „Plastyka“, wystąpił w miejscowem Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych z kolekcją dwudziestu płócien znany i ceniony w Czechosłowacji artysta Franciszek Podesva z Pragi*). Wystawa ta jest inauguracją sezonu 1934/35 w tym salonie i pierwszą wogóle zagranicznego artysty w dziejach instytucji, która służy w przeważającej mierze sztuce umiarkowanej, w przeciwieństwie do I. K. S-u, salonu współczesnych prądów, zbyt ciężko przyjmujących się na niezbyt w tej dziedzinie urodzajnej glebie nadwarciańskiej.

Płaszczyk regjonalizmu bywa w pewnych wypadkach aż nadto kuszący i szeroki, chowa się bowiem pod nim wszelka niedojrzałość, każde niedbalstwo, żądające uznania tytułem tradycji. Podesva jednak umiał wyzwolić się z tego fatalnego łańcucha regjonalistycznego, tak jak przed nim uczynili jego ziomkowie: Filla, Kubin, Sima i inni. Kiedy więc rówieśnicy berneńscy i prascy dusili się z rezygnacją w zatęchłem powietrzu morawskiego impresjonizmu krajowego, odbieranego już z dziesiątej ręki, znalazł Podesva odwagę do rozszerzenia żelaznego kręgu tradycji, nie obawiając się świeżego powietrza europejskiego, przezeń wchlanianego poraz wtóry.

Wystawiony na bieżącej wystawie w Poznaniu cykl jego obrazów przedstawia przed- i ostatnie stadjum interesującej ewolucji artysty. Umysł Podesvy zajęła bardzo mitologja grecka. Widzi ją szczęśliwie rustykalną i oddaje w kolorach i kompozycjach, świadczących o wpływach wielkich mistrzów współczesnej Francji. Postacie o powolnych ruchach stały się wogóle częścią nowoczesnego malarstwa figuralnego. Pochodzenia tych kąpiących się dziewczyn, kochanków, pątniczek i ogrodniczek, dopatrywać się można w scenach figuralnych z Tahiti - Gogha, pozbawione w międzyczasie określonej przynależności krajowej, narodowej czy rasowej. Scenarjum swych ostatnich oleji przeniósł Podesva do starej Hellady. Chociaż występowało ono już w jego wcześniejszych płótnach, to teraz dopiero stało się logicznie w swoim prymitywiźmie realne i w swym kolorycie żywe. Postacie tych scen dopiero teraz znalazły się w właściwej ojczyźnie, pod głębokim lazurem nieba, w krainie błękitnego morza, w jaśniejącym - żółtym i południowo-ciepłym kolorze brunatnym. Nieraz stawaliśmy zakłopotani przed niedającemi się bliżej określić postaciami Derraina, czy Picassa. Rozumiemy je natomiast w zupełności w tworzywie Podesvy, znajdują się one rzeczywiście w swojem środowisku, w swojej acz mitologicznej, jednak realnej ojczyźnie.

W ostatniem stadjum twórczości udało się artyście nietylko zlokalizować pomysłowo swoich rybaków, kosiarzy, pasterzy i pątniczki przez nadanie im nazw, jak Demeter, Afrodyta, Persefona, Dyonizos, Tryptolemos, lecz skorzystał tu autor również pod względem psychologicznym. Podesva odznaczał się zawsze żywym kolorytem, począwszy od pierwszego wpływu impresjonistycznego, poprzez późniejszy etap ekspresjonizmu figuralnego, aż do ostatnich kwiatów i martwych natur. Słoneczna jego paleta dostarczała mu kolorów do obrazów radosnych i promienistych w ramach kultywowanego ładu.

Kultywowany ład — oto zewnętrzna klasyfikacja, najlepiej odpowiadająca usposobieniu Podesvy od początku jego twórczości. Obserwujemy go i na poznańskiej wystawie w cyklu obrazów ze starej Grecji. Południowe zlokalizowanie uzasadnia ich słoneczny koloryt, radośnie — niebieski, palący — żółty i ciepły kolor brunatny. Kolory te są gęste, kryją wypełnioną płaszczyznę, lekko obramowaną przez czarne, łamane kontury. Mają one swój własny dźwięk, lecz wymagają, ażeby znalazł również zrozumienie ich walor funkcyjny.

W dzisiejszem stadjum twórczości Podesvy zasługują na specjalną uwagę właśnie kolory. Porównując ich intenzywność i układ z dziełami z roku 1929, widzimy dopiero, jak wielki nastąpił



Fr. Podesva — Studjum do „Artemis“ (olej)
Salon Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu.

postęp, pewność i dojrzałość. Dawniejszy surowy ton został przetopiony, kolor stał się wyrazicielem harmonijnej kultury artysty. Tak promieniująco i w taki wytrawny sposób obchodził się z barwami niedawno zmarły malarz czeski Rudolf Kremlicka, dający swym kompozycjom klasyczny i definitywny wyraz. W pracach tego artysty była absolutna pewność, kolor sam wytwarzal owalne kształty figur.

Trzy obrazy olejne: „Kołysanka“, „Na ziemniaki“, „Pierwsza pszczółka“, ukończone zaledwie na parę dni przed wystawą poznańską, wycisnęły na głęboko wrażliwej duszy artysty niezatarte piętno kraju rodzinnego, odzwierciedlające w jego sztuce znamienne cechy charakteru: nieskrępowaną niczem szczerość, medytacyjną rozwagę, a przytem zupełnie nowoczesną orjentację.

Bogata i żyzna przyroda Moraw, romantyczny krajobraz Beskidów morawskich, stały się też niewyczerpaną skarbnicą tematów dla rozległej skali jego sztuki. W tych płótnach nie posługuje się artysta łamanemi czarnemi konturami, lecz intensywnością, wdziękiem i wyrównaniem kolorów, zajął w współczesnej sztuce swego kraju miejsce osierocone po Kremlicce.

Wspomnieć jeszcze wypada, że wielką zasługą Podesvy jest jego propaganda sztuki polskiej, w przezeń redagowanych pismach, miesięczniku artystycznym „Salon“ i tygodniku „Rozkvet“, wychodzących w Pradze. W pierwszym zamieścił był 14 artykułów o sztuce polskiej, w drugim przeszło 30 o naszej kulturze, teatrze, plastyce, pióra polskich autorów, nadto przeszło 100 ilustracyj. Zapoznając czeskich czytelników z naszą sztuką, przyczynił się Podesva niemało do jej propagandy w jego kraju, mającego w tej dziedzinie doniedawna jeszcze bardzo mgliste pojęcie.

Młodzi artystycznego Poznania przyjęli wystawę swego czeskiego kolegi z entuzjazmem. Panowie po 60 z niezrozumieniem (wiadomo!!) — a co zatem wyziera, z kiwaniem głowy. Tych emerytów na całe szczęście jest w stolicy Wielkopolski niewielu.

*) Urodzony 1892 r. w Sokolnikach, na Morawach. Studja u Bukovaca i Preislera, grafikę u Broemsego, w praskiej Akademji Sztuk Pięknych. Później Rzym, Florencja, Paryż, Monachjum i Madryt (studja). Wystawiał we wszystkich większych miastach w Czechosłowacji, zagranicą w Paryżu, Wiedniu, Wenecji.



Franciszek Podesva,
znany malarz praski na tle obrazu swego „Afrodyta“.



Fr. Podesva — „Demetr uczy Triptolema orać“ (olej)
Salon Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu.

LUDWIK ZABROCKI

Mowa ludu wielkopolskiego

Pod tym tytułem ukazała się ostatnio praca Adama Tomaszewskiego, asystenta Uniwersytetu Poznańskiego*). Praca ma charakter ogólny, nie wnika w szczegóły. Autor wziął sobie za cel przedstawienie ogólnej charakterystyki dialektu wielkopolskiego. Objął on Wielkopolskę w historycznem jej znaczeniu, to znaczy, zasięgiem swym wykraczającej poza granice województwa poznańskiego.

W granicach wykreślonych dialekt wielkopolski nie jest jednolity (o taki bowiem wogóle trudno). Autor przedstawia go też nie kawałkami, terytorjalnie, lecz podaje cechy, które charakteryzują odpowiednie tereny. W ten sposób przechodzi kolejno odpowiednie działy językowe. Z fonetyki dowiadujemy się, jak wymawia Wielkopolska nagłosową grupę ja — jedynie w jarzmo wymawia się jak jeżmo, a co ciekawsze, że zachodni skrawek Wielkopolski posiada jeszcze stary wyraz igo. Na całym terenie istnieje „a“ pochylone, to znaczy wymawiane jako dźwięk zbliżony do o. Mówi to o rdzennym i starym polskim dialekcie Wielkopolan. Na terenie Wielkopolski utrzymała się też stara wymowa w postaci „Poznaniewi“, a nawet krawcewa. Każdy Wielkopolanin mówi zawsze też „wołna“ = wełna, kjołbasa; cecha ta jest też jedną z najważniejszych dla Wielkopolski. Od Kujaw, które nie wchodzą tu w rachubę, odróżnia się Wielkopolska tem, że mówi „śńyg, kobjyta“, a nie jak na Kujawach „śnig, kobita“.

W ten sposób przechodzi autor każdy dźwięk i opowiada nam, jak go wymawia lud wielkopolski. Dowiadujemy się, że wymowę s zamiast sz (t. zn. mazurowanie), spotyka się w niektórych okolicach zachodniej Wielkopolski np. w Drawsku. Mówia tam też kapösta, a któż zrozumie taki zwrot chłopa z pod Drawska czy Pęckowa: jö jöchem nie cöje = uchem nie słyszę? Widzimy, że mowa ludu polskiego jest urozmaicona różnemi odchyleniami.

Poza fonetyką podał jeszcze autor sporo cech ze słowotwórstwa z odmianami. Dowiadujemy się tutaj, że np. na Kujawach najwięcej obelżywem mianem, to pleszewiok, zacnych Poznaniaków nazywają kaszokami. Ze składni, najwięcej uderza szyk przejęty z niemieckiego w formie jadę z rowerem — Ich fahre mit dem Rad.

Przy końcu podaje autor pewną krótką syntezę, przy której wyodrebnia kilka obszarów językowych na terenie Wielkopolski. Słuszna tu obserwacja wyróżnienia się językowego Krajny zachodniej. Trzeba tu bowiem stwierdzić, że spotykane niekiedy w literaturze terminy dialekt krajniacki i złotowski nie oznaczają bynajmniej jednego dialektu, są to dwa zupełnie różne dialekty.

Jeżeli chodzi teraz o całość, to trzeba przyznać, że rzecz się udała. Jest krótka, ale przejrzysta i odznacza się dobrą konstrukcją syntetyczną. Fachowiec czyta ją z zainteresowaniem, miłośnik języka polskiego w szerokiem i wszechstronnem znaczeniu powinien broszurkę tę zaliczyć do rzeczy pięknych i dających rzetelne zadowolenie z poznania rzeczy nowych. Trzeba tu bowiem zwrócić uwagę, że jest to pierwsze w dziejach opracowanie całości Wielkopolski. Do tego czasu mieliśmy jedynie opracowanie pewnych cech w gramatyce akademickiej przez prof. K. Nitscha. Dla fachowców ma praca dr. Tomaszewskiego tem większą wartość, że autor jest dzisiaj najlepszym znawcą gwar wielkopolskich, operuje on niesłychanie olbrzymim materjałem gwaroznawczym, podaje zawsze fakt, nie wchodząc tymczasowo w jego genezę, której jednak w wielu wypadkach bylibyśmy ciekawi. Może to jeszcze zawczesne — w każdym bądź razie w przyszłości konieczne. Na jedno jeszcze trzebaby zwrócić uwagę, a mianowicie na konieczność ostrzejszego zakonturowania pewnych całości dialektycznych. Metoda Nitscha operowania linją zamiast plamy ma niewątpliwie znaczenie doniosłe. Nie powinna ona jednak zbytnio upłynnić pojęcie dialektu, upłynnienie to grozi bowiem negacją wszelakich dialektów w jednolitych całościach.

Wracając do samej broszury chcielibyśmy wyrazić życzenie, by z treścią jej poza fachowcami zapoznały si ętakże szerokie sfery inteligencji: w pierwszym rzędzie powinna ona służyć za podstawę naszemu nauczycielstwu przy wykonaniu programu regjonalnegō.

Na koniec należy się uznanie Kołu Slawistów U. P., że zdecydowało się wydać tego rodzaju rzecz, inicjatywie w tym kierunku trzeba w dzisiejszych ciężkich czasach zawsze szczerze przyklasnąć. Przytem trzeba zaznaczyć, że jest to już druki zeszyt zamierzonej bibljoteczki wspomnianego Koła. Pierwszy zeszyt zawiera nadzwyczaj cenną pracę prof. Ułaszyna o Baudouinie de Courtenay.

*) Dr. Adam Tomaszewski, asystent Uniwersytetu Poznańskiego str. 55 + 2 mapy. Mowa Ludu Wielkopolskiego. Charakterystyka ogólna. Bibljoteka Koła Slawistów im. J. Baudouina de Courtenay. Nr. 2.

PRZEGLĄD PRASY

Czy Polska jest muzykalna?

Jak zapewne czytelnikom „Głosu“ wiadomo, w „Kurjerze Porannym“ skandalizuje się infantylnie pewna, dość wiekowa à jour - nalistka - odtylcówka, p. marszbabina roz - Jehanna Wielopolska. Trochę to recenzentka filmowa (specjalność: seaxe - appeleptyczne filmy), trochę nowopowra (nouveau - pauvre) umysłowa.

Pozatem pisze o wszystkiem, co tylko napotyka na drodze swego zgryźliwego żywota w sposób taki, że stateczniejsi i wyrozumialsi ludzie patrzą na te harce z piórem, jak na zabawę chłopczyka z zapałkami. — Nie z obawy o pożar, broń Boże! Nie! **Tylko z obawy ...** Mówi się wtedy: „Oj, Józio, nie igraj z zapałkami“.

Nawiasem warto przypomnieć, że p. J. W. była gościem Poznania, serdeczną przyjaciółką Poznaniaków i ichże gloryfikatorką.

Tak ad captandam benevolentiam et pro pane bene merentium. Ostatecznie cóż tam?! — żadna praca — dla chleba — nie hańbi, szczególnie dam. Tak było sielankowo, arkadyjsko, antysemicko, duserowato, kochajmy się do czasu, kiedy to młody Poznań obrzucił jajami pani margrabiny nędzę sceniczną — „Nuwopawrów“, których wystawił Teatr Polski. Wtedy p. Marja Jehanne uniosła się świętem oburzeniem i wyniosła z Poznania, uszczęśliwiając stolicę swoją działalnością kulturtraegerińską.

Poznaniowi, Poznaniakom i poznańskiemu poświęciła odtąd specjalny dział tfu - rczości (pochodzi od „tfu“ i furji). I dotąd jeszcze Wielkopolanie, „ci ludzie o okrągłych głowach“, nie znajdują łaski w jej oczach; dotąd jeszcze uważa ich nawet nie za helotów, nawet nie za parjasów, nawet nie za kulisów.

Tych parę słów wstępu, to tylko takie małe przypomnienie — z poczucia sprawiedliwości. Aby tem dobitniej wystąpiła zasługa rzeczonej dziennikarki. Niedawno bowiem p. J. W. na łamach „Kurjera Porannego“ zainicjowała bardzo pożądaną dyskusję na temat, wymieniony w nagłówku.

Aktualna i ważna to sprawa, którą należy wentylować szeroko. Przyznajemy tu szczerze zasługę p. J. W. — Suum cuique!

Czem sobie wytłumaczyć, że nawet stolica odwróciła się od swej instytucji symfonicznej. Czem sobie wytłomaczyc łysiny sal w czasie koncertów. Czem sobie wytłumaczyć powszechną jakby opozycję Sarmatów w ostatnich latach wobec muzyki (pojętej najszerzej), chociaż mamy tak muzykalnych sąsiadów (Niemcy, Czesi, Ukraina, Rosja)?

„Kurjer Poranny“ w numerze z 1 listopada przytacza opinję Paderewskiego o muzykalności Polaków. Paderewski pisze:

„Czy Polska jest muzykalna? Lud, włościanie i górale są bardzo muzykalni. Polska obdarzyła świat kilku najważniejszemi rytmami muzycznemi, i tanecznemi: polonezem, mazurem, krakowiakiem, oberkiem. Już to wystarczyłoby, aby uznać genjusz muzyczny Polski. Jeżeli jednak chodzi o pytanie, czy nasze klasy średnie i wyższe, czy nasze mieszczaństwo jest muzykalne, będę musiał zaprzeczyć!“

Takby, napozór, wyglądało. Nie umiemy śpiewać, nie czujemy muzyki. „Umiemy conajwyżej przytupywać obcasami, gdy grają, czy spiewają inni“, pisze p. J. W. Chodzi tu, oczywiście, nietylko o muzykę w odświętnem znaczeniu tego słowa, dostępną wyższym 10 000, lecz o muzykalność pojętą — na pewnym poziomie — lecz ogólniej. Chodzi o piosenkę, choćby o muzykę popularną (nie szlagiery oczywiście).

Pani Wielopolska tłumaczy nasz brak muzykalności — odwróceniem się od piosenki z racji jej bezsensownego najczęściej tekstu.

Piosenka francuska, włoska jest łatwa, zrozumiała. To, co my mamy do śpiewania, jest durne, przestarzałe, często niezrozumiałe.

Nadziei na bliską zmianę na lepsze niema żadnych, gdyż szkoła (powszechna i średnia) traktuje muzykę i śpiew jako stratę czasu, i nie wychowuje przyszłych konsumentów dobrej muzyki. Zresztą jakich piosenek ma szkoła uczyć, jeśli — właściwie mówiąc — niema pieśni dla młodzieży. To, co jest, to przeważnie przebrzmiałe patrjoidjotyzmy, martyrologja od morza do morza, cary, Sybir, kajdany, insurekcje itp.

Wojsko nasze nie ma także odpowiednich piosenek. Najlepiej może przedstawia się sprawa wśród młodzieży pozaszkolnej, zrzeszanej w KSM. (dawniej SMP.), dla której ks. prałat L. Biłko wydał dwa świetne śpiewniki (z nutami) nowych zupełnie piosenek („Młody śpiew“, tom I i II, nakładem S. A. „Ostoja“, Poznań, Pocztowa 15).

Tak się złożyło, że to samo, mniejwięcej, zagadnienie poruszył w nowem wydawnictwie „Życie muzyczne i teatralne“ (nr. 2, str. 3—4), świetny muzykolog, profesor U. P., dr. Ł. Kamiński w artykule pt.: **folklor a kultura muzyczna.**

Rozprawia się na wstępie z bajką o internacjonalności w muzyce. Udowadnia niezbicie, że niema jednolitego ideału muzycznego, któryby zdołał przyjąć się powszechnie. To też wszystkie próby skierowania muzyki polskiej do jakiegoś ideału internacjonalnego, do — choćby — paneuropy dźwięków są nieporozumieniem.

Nieporozumienie to tłomaczy się tem, że większość narodów europejskich ubiera swoje melodje w akordy, co doprowadziło do schematu 2 skal: dur i mol i zrodziło bajkę o muzyce międzynarodowej.

Chyba tak być nie może, mówi dr. Ł. Kamiński, jeśli usiłowania, aby muzykę naszą wycelować w tym ze kierunku, po 5 wiekach wysiłku dały w efekcie odwrócenie się szerokiej publiczności od profesjonalistów dzisi ejszej muzyki „polskiej“.

Tę opozycję uważa znakomity muzykolog za zdrowy i pozytywny odruch, gdyz lud polski posiada własną kulturę muzyczną, wobec której ideały, dlań niehomogeniczne, zupełnie słuszne odrzuca.

„Lud polski jest niemuzykalny“ — oto komunał, z którym niestety spotykamy się przy każdej sposobności. Jakże mało znają nasz lud ci, co to oszczerstwo głoszą! I czemże je uzasadniają? „Bo Polacy nie śpiewają w akordach, jak Rusini“. A więc na szmelc z całym śpiewem gregorjańskim, bo niemasz w nim akordów! Uzasadnienie to jest typowe dla człowieka „muzykalnego“ w znaczeniu paneuropejskim, który się tak zaplątał w sieci harmonji akordowej, że bez niej niema dla niego muzyki. Rozejrzyjmy się jednak po wielkim swiecie, a przekonamy się, że poza kulturą europejską przesąd ten nie istnieje. Nawet w najwyzszych kulturach wschodnich kwitnie śpiew **monodyczny**, przedstawiający melodję czystą, w gors akordowy nieupancerzoną, i wykazuje się, że istotą i kwintesencją muzyki w zrozumieniu ogólnoludzkiem jest właśnie czysta melodja, w stosunku do której akord stanowi jedynie aggrediens nieistotny. Taką to czystą, istotną monadją więc jest zasadniczo śpiew ludu polskiego, a wystarczy przewertować 33-tomowy zbiór Kolberga, ażeby zrozumieć, jak olbrzymia potencja muzyczna z niego przemawia. Nie żadnym też przypadkiem nasza melodyka ludowa okazała w wiekach 16 do 18 siłę ekspansywną taką, jaką nie może się poszczycić żaden inny naród europejski: świadczy o tem istna powódź melodyj polskich w muzyce niemieckiej zwłaszcza 18 stulecia, swiadczy i przepełniony wpływami polskimi folklor szwedzki oraz reja łyżycka, będąca jakoby wiernem odbiciem naszego poloneza z czasów augustowskich. I taki to lud miałby być „niemuzykalny“!

Studjując naszą melodykę ludową, nie może też ujść uwagi, że właśnie ta swoboda od balastu akordowego pozwoliła jej i pozwala na tę żywiołową ruchliwość i rozpiętość, na tę samoistność, tę siłę rytmiczną, i na tę migotliwą barwność tonacyjną, jaka z niej uderza. — Wiadomo, co się nieraz dzieje z melodją w muzyce harmonicznej, jak często ona pod zwałami akordów kaleczeje i marnieje, niczem alpinista pod lawiną. Tu natomiast autonomja melosu jest tak duża, że rdzeń naszych pieśni ludowych nie znosi poprostu harmonizacji, każde wiązanie akordowe będzie sprzeczne z duchem melodji i harmonja opada z niej, jak kiepski jeździec z szlachetnego rumaka. Nie brak, owszem i melodyj durowych i mollowych, idą one bądź z wpływów sąsiednich, bądź z pewnych instrumentów regjonalnych i nadają się do wystrojenia w akordy. Lecz właśnie najmocniej zakorzenione, najbardziej typowe pieśni utrzymane są w skalach tak antyakordowych, że zalewanie ich zwykłym sosem europejskim byłoby podobnym nonsensem, jak harmonizacja jakiejś melodji chińskiej.

Istnieje jednak w ludzie naszym także specyficzna technika ubierania melodyj w współdźwięki, technika, uprawiana również i w wysokich kulturach orjentalnych, a nie przytłaczająca melosu ciężarem zwartej architektury harmonicznej: jest to **heterofonja warjacyjna**, używana przez grających. Polega ona na tem, że oba instrumenty grają w wzajemnym stosunku oktawy zasadniczo tę samą melodję, lecz każdy z indywidualnemi, innemi odmianami. Do jak wspaniałych rezultatów artystycznych ta technika doprowadzić potrafi, dowodzą o tem gamelargi sjamskie lub jawańskie. Lecz i u naszych grajków ludowych można się nieraz nasłuchać przepysznych koncertów w tym rodzaju. To należy studjować, tu nawiązać, panowie kompozytorzy!

Nie mam ambicji wskazania w tem miejscu wszystkich możliwości, jakich nasz folklor muzyczny nastręcza dla polskiej muzyki artystycznej. Nie starczyłoby szpalt na dotknięcie choćby kwestji tak arcyważnej, jaką jest polska rytmika, jak polskie skale i tonacje, jak nasze **tempo rubato** ludowe i tyle innych. Lecz nie idzie mi tyle o szczegóły, ile o sprawę zasadniczą. Nie myślę pozować na Samsona, któryby obalał wszelkie świątynie, jakie w Polsce wzniesiono dla Palestriny, Bacha, Mozarta i podobnych bóstw, których sam jestem wiernym czcicielem. Ale uważam za konieczne, ażeby nasz widnokrąg muzyczny się rozszerzył, po pierwsze przez istotne zapoznanie się z polską muzyką ludową, a po drugie przez studjum wysokich kultur muzycznych wschodnich, które właśnie nam, Polakom, mają nie mniej do powiedzenia od klasyków europejskich. Gdyby to odemnie zależało, to posłałbym każdego zdolnego konserwatorystę polskiego na rok do jakiego dobrego ośrodka muzyki ludowej, na Biskupiznę Krobską, czy na Mazowsze, a na drugi na Jawę lub Bali.“

Bylibyśmy wdzięczni czytelnikom „Głosu“, gdyby zechcieli rozwinąć dyskusję na powyższy temat.

Za ten artykuł warto życzyć „Życiu Muzycznemu i Teatralnemu“[1]), aby długo żyło.

* * *

Pierwszy numer „Życia“ rewelacyj nie zapowiadał. „Jeszcze jedno dychawiczne pismo, które wkrótce splajtnie“. Po drugim jednak numerze można sobie dużo obiecywać. Dział teatru redaguje w „Życiu“ p. Jur Leżeński. Wpierw uwaga ogólna. Jeśli to jest „Życie muzyczne i teatralne“, teatrowi patrzyłaby się równa ilość stron, co muzyce. Można to będzie chyba zrobić. Wystarczy poprostu okroić nieco śmieci korespondencyjnych z innych środowisk Polski. W ostatnim numerze jest ankieta na temat kryzysu teatralnego. Pisze dyr. T Trzciński i R. Boelke. Rewelacyj niema, szczególnie w artykuliku p. Boelkego. Pozatem dział teatralny przynosi szkicowy artykuł p. J. Leżeńskiego p. t. „Rok w soczewce miesiąca“, który zadziwia ... lekkomyślnością sądów i pytyjską enigmatycznością, łagodnie określając. Korespondencje przynoszą omówienie inscenizacji „Snu Nocy Letniej“ Schillera, jak powszechnie mówią i „Marcholta“ Kasprowiczowego, którego wystawił Lwów.

Za zupełnie chybione uważam chluśnięcie na czytelnika kubłem nazwisk aktorskich, autorskich i tytułów sztuk z całej Polski. I to na 200 wierszach! Czyż nie lepiej dać jakiś artykuł zasadniczy lub przyzwoitą recenzję? Niech teatry mają frajdę z gratisówki, z których redaktorzy korzystają.

Mimo tych naszych spostrzeżeń, dział teatru jest jak dotąd w „Życiu“ najciekawszy.

Razi w „Życiu“ pewna nieporadność w łamaniu artykułów i ohydna wprost korekta. W samym artykule prof. Kamińskiego naliczyłem przeszło 60 niepoprawionych błędów!!

Turski.

[1]) Życie muzyczne i teatralne. Redakcja i administracja: Poznań, Niegolewskich 18, m. 3. Konto P. K. O. nr. 204-103. Prenumerata: rocznie 5 zł, półrocznie 3 zł, kwartalnie 1,50 zł. Numer pojedyńczy 50 gr.



Drzeworyt z wystawy grafiki szwedzkiej w Poznaniu.

MICHAŁ SOCHA

Niepoprawny?

Kiedyż ja wreście przestanę
Miłośnie ku światu wyciągać ramiona?
Kiedyż wyleczę ranę
Co zaufaniem — rozkrwawiona?

Palce połamane — ręka przetrącona.
Co śmiała żebrać po serca ochłapach,
Bo w „szkole życia“ mądrość niewzruszona
Dzieci swe bije wciąż jeszcze „po łapach“.

Kiedyż się wreszcie od świata odgrodzę
Pancerzem dumy, wzgardy twardym murem,
Skroń rozpaloną, ironją ochłodzę,
Nią się odurzę, upiję jak rumem?

Nigdy! Zostanę zawsze synem [niepoprawnym
Co bez wahania rękę w ogień kładzie,
Maszerującym w zwartym szyku [sprawnym
Wierny towarzysz — w narodu gromadzie!

Z WYSTAW POZNAŃSKICH





„A słowo ciałem się stało“ i „Taniec zbójecki“ — dwa obrazy na szkle znanego zakopiańskiego artysty malarza **Jana Gąsienicy Szostaka** z ostatniej wystawy w salonie „IKS-u“, pl. Wolności 14a

Fot. S. Ulatowski.

Wystawa Plastyki w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych

Wystawa plastyki przedstawiała się naogół interesująco i wartościowo, mimo pewnej niejedolitości. Wystawiono albowiem rozmaite prace, od prostych szkiców i notatek począwszy, aż do skończonych i przemyślanych dużych kompozycyj.

B a r t e l ma dosyć różnorodne oblicze i inaczej wygląda w swych pejzażach morskich a inaczej w Portrecie córki. Pejzaże, dosyć suche w kolorycie (prócz jednego), posiadają raczej efekty barwnej litografji. Dobrze oddaje głęboką perspektywę brzegu morskiego Pejzaż I. Portret miękko malowany, utrzymany w lekko holenderskim, spatynowanym kolorycie, jest dobry i naturalne w wyrazie. Karciarze J a c k o w s k i e g o posiadają pewną stylizację kompozycji i swoisty rytm postaci, które jednak mimo rozmaitego poruszenia wyglądają tak samo. Dobry jest drugi plan lekko stonowany i w miarę interesujący widza. Pejzaż z Bretanji ma dużo przestrzeni i zieleni. Faktura H a n n y t k i e w i c z a jest nadal ta sama. Lekkie zacieranie konturów stwarza w krajobrazach specjalne nastroje i efekty. Dobry dlatego jest Podwieczorek z lekką mgiełką i delikatnie barwnemi plamami na tle zieleni. Madonny R o g u s k i e g o, mimo pewnych zalet, jak wdzięk, niezły rysunek, nużą nas tem, że wiecznie takie same, mimowoli nasuwa się pytanie dlaczego są tak a nie inaczej namalowanej i nie znajdujemy w nich odpowiedzi. W a l k o w s k i urodzony animalista umie zastosować silne efekty do tematu swoich płócien i zna się na walorach światła. M r o z i ń s k i wystawił Uliczkę w Pucku i martwą naturę. Portret E i c h l e r a jest z miłością i pietyzmem szczegółów wypracowany, ale w wyrazie swym jest mało czemś innem niż kolorową fotografją. Portret M a l i n y jest solidnie i śmiało namalowany.

Z pierwszorzędnem wyczuciem i majsterstwem techniki są malowane pejzaże O ź m i n a. Prosty motyw polskiego krajobrazu przeobraża się w piękne dzieło silnie przemawiające do nas swym wyrazem i głębią nastroju. Są one cackami w swoim rodzaju. Akwarela Na targ malowana z olbrzymim rozmachem, swą błyskotliwością, żywym ruchem postaci i świetnym charakterem całej sceny przekonywuje nas i porywa. O ź m i n o w a w portrecie p. R. pokazała swój świetny rysunek i kompozycję. Posiada ona swój własny styl i indywidualność jej jest bardzo silna. W r o n i e c k a jest jak zwykle świetnym ilustratorem i jego rysunki i akwarele z portu gdyńskiego posiadają dużo ekspresji. Oleje S z p i n p i e r a w rodzaju i stylu jego dekoracyj teatralnych doskonale odtwarzają charakter Paryża. E i c h l e r o w a wystawia trzy studja olejne, traktowane w dość soczystym kolorycie.

Grafikę reprezentuje B r a n d e l. Jak zwykle jego akwaforty zbyt malarsko traktowane są niejasne i chaotyczne, ale już w Pejzażu rysunek wysuwa się na pierwszy plan, delikatnie i precyzyjnie przeprowadzony.

Z rzeźbiarzy K a i m daje doskonałą, świetnie modelowaną głowę w bronzie, S z c z e p a n i e c Portret w gipsie z dobrze wyrażonym charakterem, Dąbrowska również portret, a W y s o c k i kolekcję plakiet.

T. Rec.

Z WYDAWNICTW

La Question des Nationalités en Poméranie

Leon Wasilewski: „La question des nationalités en Pomeranie“, Gebethner et Wolff, Paris.

Obok zagadnienia dostępu Polski do Bałtyku, na terenie polityki międzynarodowej, zjawia się często kwestja polskości Pomorza. Zagadnienie to, bardzo popularne w dziennikach, znane jest dotychczas szerszemu ogółowi Anglików, Francuzów itp. przeważnie tylko z artykułów w prasie, noszących naogół charakter tendencyjny. Braknie natomiast jakiejś niewielkiej, a dla szerokiego ogółu inteligentnych czytelników dostępnej, pracy naukowej, którąby źródłowo informowała o rzeczywistym stanie tych zagadnień i o polskiem wobec nich stanowisku. Do usunięcia tego braku, przynajmniej na terenie Francji, przyczynia się poważnie praca Leona Wasilewskiego, doskonałego znawcy stosunków narodowościowych na terenie Polski.

Autor rozpoczyna swą pracę od stwierdzenia, że sama nazwa: Pomorze jest pochodzenia słowiańskiego, że pozatem nazwy geograficzne na obszarach dzisiejszego Pomorza polskiego i niemieckiego są również, o ile nie polskie, to w każdym razie słowiańskie. Dowodzi to więc słowiańskiego charakteru tej ziemi od wieków.

Plemiona germańskie, które ją zamieszkiwały w odległych czasach przedhistorycznych, opuściły Pomorze, udając się na zachód w III wieku po Chrystusie Na ich miejsce przychodzą ludy słowiańskie, które stają się panami tej krainy. Kroniki, datujące się z początku średniowiecza, wyraźnie piszą o słowiańskości Pomorza Zamieszkiwał je lud Pomorzan, tworzących jedną grupę etniczną z Polakami, mimo pewnych odrębności, spowodowanych naleciałościami skandynawskiemi. Wpływy te były specjalnie wyraźne w dziedzinie religji, gdzie dzięki nim powstała kasta kapłanów, nieznana innym grupom Lechitów, oraz w dzedzinie ustroju społecznego, gdzie przyczyniły się do zorganizowania plemion, osiadłych na wybrzeżu w maleńkie republiki o charakterze napoły rolniczym, a napoły miejskim.

Pomorze, jako jedna z ziem plemienia Lechitów, weszło w skład państwa utworzonego przez lud tej grupy — państwem była Polska, której prowincją Pomorze staje się za pierwszego historycznego władcy Polski, Mieszka I. Odtąd losy Pomorza są związane ściśle z losami Polski. Jednak dzięki specjalnemu układowi stosunków już od czasów średniowiecza napływały na Pomorze fale kolonistów niemieckich.

Pierwsza fala przybyła w 13 w., razem z osiedlaniem osadników niemieckich w całej Polsce. Wkrótce Pomorze dostaje się pod panowanie zakonu krzyżackiego. Żywioł niemiecki wzmacniają nowi przybysze: rycerze, słudzy zakonni, rzemieślnicy, a wreszcie mieszczanie i chłopi. Jednak po powrocie Pomorza do Polski w 1466 r. Pomorze wkrótce odzyskuje zupełnie swój dawny polski charakter etniczny, polonizuje się całkowicie mimo nowego napływu elementu germańskiego w postaci imigracji protestantów z Niemiec i Holandji.

Nowy etap w dziejach rozwoju stosunków narodowościowych na Pomorzu rozpoczyna się wraz z rozbiorem Polski. Wtedy Pomorze staje się częścią składową Prus i rozpoczyna się ponownie zaciekła walka żywiołu tubylczego, broniącego swej polskości przeciwko Niemcom, dążącym do germanizacji kraju.

Autor spokojnie i rzeczowo analizuje akcję germanizacyjną. Terenem jej była szkoła, urzędy, handel, przemysł, a przedewszystkiem ziemia, o posiadanie której toczyła się zacięta walka. Analizuje również autor akcję defenzywną Polaków, broniących swego stanu posiadania. W walce tej ważnym sprzymierzeńcem Polaków był ich duży przyrost naturalny, znacznie wyższy, niż u Niemców. Drugim sprzymierzeńcem była emigracja Niemców do ośrodków przemysłowych zachodnio - niemieckich, gdzie istniała możność większego wzbogacenia się.

Z chwilą objęcia Pomorza przez Polskę duża część Niemców wyemigrowała. Byli to świeżo osadzeni koloniści, którzy nie zżyli się z krajem, oraz urzędnicy, którzy musieli opuścić zajmowane dotychczas stanowiska pod presją rządu Rzeszy.

Ta ilość Niemców, która ostatecznie pozostała na terenie Pomorza, jest nieznaczna. Spis ludności z 1921 roku dowiódł bankructwa akcji germanizacyjnej, bowiem ludność niemiecka na Pomorzu wynosiła 19 proc. ogólnej liczby ludności (177 842 os.). Stosunek ten uległ dalszej ewolucji na korzyść Polaków, gdyż w roku 1931 było tylko 10,1 proc (109 696) nie-Polaków, a więc przeważnie Niemców, będących pod względem etnicznym mieszaniną najrozmaitszych elementów, zamieszkujących Rzeszę.

Lud. Dor·

Na marginesie

Zachodzą niewątpliwie w życiu społecznem takie sytuacje, z których jedynem wyjściem jest silne uderzenie, rozbijające kupę beztreściowych i zmurszałych konwenansów i urządzeń, zatarasowujących drogę do życia. Odnosi się to tak do zagadnień ogólnych, zasadniczych, jak i drobniejszych, dotyczących pewnych poszczególnych wypadków. Tu jednakże trzeba uczynić pewne zastrzeżenie. Uderzenie to, czyn ten, może być tylko wtenczas skuteczny, może tylko wtedy przynieść oczyszczenie atmosfery moralnej, i nie niszczyć jej doszczętnie, jeżeli został wykonany przez ludzi, którzy sami wzbili się na szczyty moralności, którzy są zupełną manifestacją uczuć społecznych, i którzy za czyn ten biorą niedwuznaczną i zupełną odpowiedzialność.

Nie może tu rządzić dewiza: „I chciałbym, a boję się“. Tymczasem w naszem życiu społeczno - politycznem zaobserwować można właśnie tę bojaźń przed odpowiedzialnością. Ludzie boją się wziąć odpowiedzialności, bo czują, że do niej moralnie nie dorośli, boją się zdemaskować swój egoizm, prywatę i małość, tkwiącą u podstaw ich działalności. Urządzają się więc wygodnie. Idą do celu drogą kalumnij, kłamstw, zmyśleń, wywoływania fałszywych sugestyj, deptania czci i dobrego ludzkiego imienia, względnie szukają skwapliwie wyręczycieli, którzyby wzięli za nich odpowiedzialność, innemi słowy szukają bezimiennych, przeważnie o p r a w c ó w. Tu więc otwierają sie szeroko wrota do tych zakamarków duszy ludzkiej, które w imię chociażby walki o uspołecznienie ludzi, powinny być zaryglowane na tysiąc spustów. Ulegają wyzwoleniu ciemne strony duszy człowieka, aby hulać w imię bezodpowiedzialności. S a d y z m rozkrzyżowuje godność ludzka i po niej odbywa swój piekielny taniec czarnej sotni· Taniec zaślepionych, porwanych niszczycielską ekstazą opętańców, wirujących w atmosferze rzeźnickich jatek. Exempla trahunt. Coraz to nowa para zgłasza gotowość. I w lewo i w prawo! Balancez!!! Do świtu daleko!?

Praca na polu kulturalnego zbliżenia
polsko - czechosłowackiego

Od roku 1923 działa w Poznaniu tow. polsko-czechosłowackie, mające za cel zbliżenie narodów polskiego i czechosłowackiego. I zgóry zaznaczyć należy, że towarzystwo to spełnia zadanie swe dobrze, podtrzymując tradycje, sięgające w Wielkopolsce bodaj czasów Bolesława Chrobrego, a tak silnie ugruntowane w czasach naszej niewoli przez Libeltów, Moraczewskich, Chociszewskich. Sztandar zbliżenia podtrzymuje ono wysoko także dzisiaj, kiedy warunki polityczne ułożyły się w Polsce dla idei słowiańskiej jak najnieprzychylniej.

Tow polsko czechosłowackie zdołało skupić w szeregach swych kilkuset członków, przekonanych o konieczności współpracy obu narodów nietylko w dziedzinie kulturalnej, lecz i gospodarczej i politycznej. Myśl tejże współpracy propaguje się na zebraniach, a także drukiem. Dowodem tego jest szereg wydawnictw, zasługujących na uwagę wszystkich, pragnących poznać bratni naród.

Działalność wydawnicza towarzystwa sięga roku 1925, w którym ukazała się pierwsza broszurka, wydana jego nakładem, — W. M. Kozłowskiego **„Masaryk a mesjanizm polski“**. Możemy nie zgadzać się na wszystkie poglądy autora, w każdym razie książeczka (zupełnie już wyczerpana) pozwala nam wniknąć głęboko w niezrozumiałego dla wielu Polaków ducha „realizmu“ czeskiego. Duch ten wyraża się bodaj najlepiej w następujących słowach wielkiego nauczyciela narodu czeskiego, prezydenta Masaryka: „Kto chce być dobrym Słowianinem, musi być przedewszystkiem dobrym Czechem. Słowiaństwo stanie się wówczas potężnem, gdy każdy z narodów słowiańskich — Czechosłowacy, Rosjanie, Polacy, Jugosłowianie — staną się same przez się potężnemi, a będą wszystkie współzawodniczyły w przyjacielskiem, wzajemnem poparciu“.

Trzy prace oddanego całem sercem sprawie tow. polsko - czechosłowackiego prezesa Kazimierza Kierskiego: **„Problemat polsko - czeski“** (r. 1931), **„Dziesięciolecie tow. polsko - czechosłowackiego w Poznaniu“** (r. 1933), i **„Masaryk a Polska“** (r. 1934), nietylko świadczą wymownie o zrozumieniu przez autora potrzeby współpracy polsko - czechosłowackiej, lecz władne są także siłą swej argumentacji przekonać o tej konieczności czytelnika. Zwłaszcza pierwsza z tych prac odznacza się jasnością, zarówno pod względem historycznym, jak i politycznym. Autor, daleki zresztą od wszelkiej, spotykanej często na polu słowianofilizmu fantastyki, dotyka śmiało spraw, które nas bolą w postępowaniu Czechów z mniejszością polską na Śląsku cieszyńskim, — dochodzi jednak w końcu do słusznego wniosku o konieczności jak najściślejszej współpracy obu narodów — wobec wspólnego niebezpieczeństwa niemieckiego. W „Dziesięcioleciu“ charakteryzuje niebezpieczeństwo to bardzo trafnie, podkreślając, że „wypływa ono nie z jakichś przejściowych kombinacyj politycznych, które dziś są, a jutro mogą ulec zasadniczej zmianie, lecz opiera się na samej psychice niemieckiej, której jedną z cech zasadniczych jest niczem nie pohamowana i niczem nie nasycona żądza zaboru“. Wobec tego autor wykazuje potrzebę nietylko unji gospodarczej, lecz także sojuszu politycznego polsko - czechosłowackiego.

Historycznie interesującą jest dla nas źródłowa praca „Masaryk a Polska“. Zawiera bowiem szereg ciekawych danych o spotkaniach i rozmowach dzisiejszego prezydenta Czechosłowacji z Polakami w Rosji, Paryżu i Ameryce podczas wojny światowej, między innemi także z Romanem Dmowskim. Autor wykazuje, że Masaryk, który już za młodu interesował się żywo sprawą polską, stał i stoi zawsze na stanowisku, iż „bez wolnej Polski nie może być wolnej Czechosłowacji, a bez wolnej Czechosłowacji wolnej Polski.“

Ostatnie wreszcie wydawnictwo, które ukazało się na tegoroczne czechosłowackie święto narodowe, to dr. Jaromira Doleżala, konsula czechosłowackiego w Poznaniu, **„Pani Masarykowa“** i **„Kobiety czeskie“**. W zmarłej małżonce sędziwego prezydenta Czechosłowacji poznajemy ciekawy typ kobiety o nadzwyczajnej głębi ducha, która — acz Amerykanka z pochodzenia i wychowania — pokochała naród swego męża, była dla tegoż najlepszą żoną, przyjaciółką i współpracowniczka. Druga praca przedstawia nam obraz emancypacji kobiety czeskiej oraz roli, jaką kobieta ta odegrała w narodowym ruchu odrodzeniowym i odgrywa w życiu współczesnem Czechosłowacji.

Należy tu wspomnieć jeszcze o jednem wydawnictwie towarzystwa, przeznaczonem nie dla Polaków, lecz dla Czechosłowaków. Jest niem wydane w roku 1933 „Desatero o Pomori“ (Dziesięcioro o Pomorzu), przetłumaczone przez zasłużonego około zbliżenia obu narodów prof. Hanusa na język czeski, wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego w Toruniu. Rozszerzenie tego wydawnictwa w Czechosłowacji musiało przyczynić się wiele do zrozumienia praw polskich do Pomorza.

Tow. polsko - czechosłowackie nie zamierza poprzestać na dotychczasowych swych wydawnictwach. W najbliższym czasie ukazać się mają dalsze.

T. P.

Z hitlerowskich Niemiec



„Arbeitsdienst“ (służba pracy) obejmuje nietylko młodzież męską, lecz również dziewczęta. Rycina przedstawia jedną z świetlic żeńskiego „Arbeitsfrontu“, w której pracują dziewczęta, szyjąc ciepłą odzież z materjałów, ofiarowanych na pomoc zimową przez przemysłowców włókienniczych.

MARJAN ŁEBKOWSKI

Z Opery

„Straszny Dwór“ Moniuszki. — Gościnne występy Antoniego Gołębiewskiego i Zenona Dolnickiego.

Dyrekcja Teatru Wielkiego odniosła niebywały sukces dnia 11-go listopada, wznawiając z prawdziwym pietyzmem i godną uwagi starannością jedną z najpiękniejszych polskich oper „Straszny Dwór“. Wielka to zasługa dyr. L a t o s z e w s k i e g o, że z całą precyzją i umiłowaniem opracował muzyczną stronę tego moniuszkowskiego dzieła. Partje chórowe wycieniowane były dobrze pod każdym względem, a orkiestra odnosiła wielokrotne brawa, zwłaszcza w finałach poszczególnych aktów.

Soliści — goście, w osobach pp. Gołębiewskiego (Stefana)) i Dolnickiego (Miecznika), zmuszeni byli do powtórnego odśpiewania najpiękniejszych swoich aryj.

Pan Gołębiewski zaimponował nietylko wielkością głosu, ale w pierwszym rzędzie miłą barwą, elastycznością i odczuciem tego wielkiego liryzmu, jaki przebija w najpiękniejszej jego arji, arji z kurantami III-go aktu, owianej urokiem cichej, księżycowej nocy i budzącemi się wspomnieniami dzieciństwa.

P. Dolnicki — to typ prawdziwego Miecznika; — to głos potężny i dźwięczny, niepozbawiony wspaniałej dykcji.

Z reszty artystów wymienić należy pp. Musielewską, dr. Stokowską, Janowską, Urbanowicza i Gruszczyńskiego oraz Warchalewskiego.

Teatr był wypełniony po brzegi, co świadczy o niezwykłem zainteresowaniu się publiczności pięknem moniuszkowskiego arcydzieła.

ZYGMUNT CELICHOWSKI

Upsala - centrum kulturalne Szwecji

Od zamierzchłych czasów pogańskich w życiu narodu szwedzkiego poważną rolę odgrywała Upsala, położona 60 klm. na północ od dzisiejszej stolicy, Sztokholmu. W miejscowości tej zrodziły się zaczątki państwowości szwedzkiej i jej kultury. Tutaj przed wiekami było centrum kultu pogańskiego, gdzie na ołtarzu, którego ślady dziś jeszcze istnieją, składano całopalne ofiary bóstwu. Tutaj oglądamy kurhany trzech mitycznych królów szwedzkich: Auna, Egila i Adilsa.

Póżniej, w roku 1273 Upsala stała się stolicą arcybiskupią. W tym też czasie wzniesiono katedrę, która w zmienionej coprawda formie do dnia dzisiejszego przetrwała. Za sprawą biskupa Jakóba Ulfssona w roku 1477 powstaje pierwszy szwedzki uniwersytet. Odtąd nabiera Upsala z roku na rok coraz wyraźniejszego charakteru miasta uniwersyteckiego, jakiem jest też obecnie. Ztąd w ciągu wieków po dzień dzisiejszy emanuje nauka nietylko na Szwecję, lecz na całą Europę. Tutaj pracowali i wykładali profesorzy zapisani wielkiemi głoskami w historji nauki, jak Karol a Linné (Lineusz), Celzjusz i historyk Geijer.



Gustavianum i pałac arcybiskupi.

Dzisiejsza Upsala, jak już wyżej zaznaczono, posiada wyraźne piętno miasta uniwersyteckiego, na 30 000 mieszkańców jest blisko cztery tysiące studentów. Są na uniwersytecie cztery fakultety: prawny, medyczny, filozoficzny i teologiczny. Studja trwają dłużej jak w Polsce i innych krajach europejskich, mianowicie: studjum prawne 5 lat, medyczne 8—10 lat, filozoficzne 5 lat, teologiczne 4 i pół roku. Jest to możliwe dzięki ogólnemu dobrobytowi i bogactwu, które w Szwecji panuje. Student miesięcznie wydaje minimum 200 zł. Ma już w tem oprócz utrzymania komfortowy pokój z łazienką w domu akademickim swej t. zw. prowincji. Prowincje te są to towarzystwa o charakterze samopomocowo-towarzyskim, do których każdy student musi należeć. Pokrywają się one mniejwięcej z naszym Bratniakiem, lecz mają w sobie dużo cech i tradycyj korporacyj akademickich. Prowincyj tych jest 13 — nazwa i ilość pochodzi stąd, że od wieków studenci, pochodząc z jednej z 13-tu prowincyj szwedzkich, razem mieszkali i tworzyli jedną organizację. Każda taka prowincja, oparta na zasadach samorządu, posiada własny dom mieszkalny, wraz z luksusowo urządzonymi salonami.

Nastroje szwedzkiej młodzieży akademickiej, podobnie zresztą jak i całego społeczeństwa, idą wyraźnie w kierunku konserwatywnym. W samorządzie uniwersyteckim decydującą rolę odgrywają konserwatyści, a także przy następnych wyborach do parlamentu szwedzkiego zwycięstwo partji konserwatywnej zdaje się być przesądzone wobec zmniejszającej się z dnia na dzień popularności partji liberalnej i socjalistycznej, mających dzisiaj większość.

Prócz uniwersytetu mieści się w Upsali największa szwedzka bibljoteka, zawierająca 700 000 tomów i 14 000 rękopisów, bezcennej wprost wartości, wśród których znajduje się codex argenteus, pierwszy dokument pisany w języku germańskim. W bibljotece tej jest bardzo poważny dział polski, którego kustoszem jest dr. Harnesk, Szwed, mówiący płynnie po polsku. Dzięki jego uprzejmości miałem możność zwiedzić dokładnie Upsalę, a w szczególności uniwersytet i bibljotekę.



Widok ogólny Upsali. Na lewo historyczny zamek. W głębi katedra.

Benesz o Dmowskim

„Z Dmowskim spotkałem się z inicjatywy Swatkowskiego[1]) poraz pierwszy 18 kwietnia 1916 w hotelu Mirabeau w Paryżu. Swą bystrością i oryginalnością i ścisłością planów politycznych ostatecznie mnie zupełnie podbił. Znając dobrze naszą orjentację rusofilską, był początkowo w mowie swej ostrożny, starając się oddziałać na mnie swem umiarkowaniem wobec urzędowej Rosji. Przy późniejszych spotkaniach stawał się jednak coraz radykalniejszym, aż wreszcie rozpoczął ofenzywę przeciwko naszej linji, skarżąc się na mnie i na prof. Masaryka z powodu jego działalności w Londynie, jakoby mało przychylnej dla Polski, i z powodu naszego rusofilstwa wogóle.

„Broniłem wobec niego naszej linji koniecznością ze względu na Sprzymierzeńców i ich stanowisko wobec Rosji. Dmowski w tym czasie przeciwstawił się dość ostro polityce Ententy, która według niego zanadto ustępowała Rosji i kierował je stanowczo i otwarcie. Przepowiadał upadek Rosji, pragnął go, a gdy mu raz podczas przechadzki nad brzegiem Sekwany mówiłem o polityce słowiańskiej i o jego udziale w zjeździe słowiańskim w Pradze 1908, odpowiedział mi: „Co pan sobie myśli, że przyjechałem do Pragi robić politykę słowiańską ze względu na słowian? Przyjechałem tam robić politykę polską i zobaczyć, co się przytem da zrobić dla Polaków. To była moja słowiańska polityka".

„Tę to linję swojej polityki jeszcze wzmocnił po wybuchu rewolucji rosyjskiej. Sam mi powiedział, że dzień, w którym wybuchła rewolucja rosyjska, był dla niego jednym z najszczęśliwszych dni życia. Od tego czasu począł głosić teorję, że Rosja jest na 50 lat wytrącona z polityki europejskiej, i że Francja wraz z całą Ententą muszą ją zastąpić na wschodzie Europy przeciwko Niemcom silną Polską. Teorja ta mocno się przyjęła, a bolszewizm, którego się Zachód obawiał, jeszcze ją wzmocnił. I trzeba przyznać, prawdę powiedziawszy, że ta polityka, której najbardziej markantnem przedstawicielem był Dmowski, mocno przyczyniła się do późniejszego, zupełnie pomyślnego położenia Polski na konferencji pokojowej. Wzmocniona dalszym rozwojem wypadków europejskich umożliwiła ona później terytorjalne rozszerzenie Polski, przeciwko czemu Amerykanie a zwłaszcza Anglicy długo się podczas konferencji pokojowej bronili.

„Skondinąd Dmowski miał dużo przeciwników, zwłaszcza w Londynie (Loyd George) z powodu antysemityzmu i niepohamonowego nacjonalizmu, w którym wielu widziało odradzający się polski imperjalizm i powoływało się nań jako na argument za stanowiskiem antypolskiem.

Z drugiej strony jednak Dmowski rozumiał lepiej niż reszta Polaków, że dla osiągnięcia celów polskich trzeba zniszczyć Austro - Węgry, ponieważ bez zniszczenia i usunięcia dotychczasowej środkowo - europejskiej konstelacji politycznej ani Niemiec się nie osłabi, ani nie uda się uwolnić Poznańskiego. W tej sprawie zawsze był konsekwentnie z nami. Niech to będzie stwierdzone z uznaniem, sprawie polskiej oddał wielkie usługi".

(Z pamiętników czechosłowackiego ministra spraw zagranicznych dr. Benesza.)

Dar
Romana Dmowskiego

Prof. Ignacy Chrzanowski przywiózł dla Bibljoteki Jagiellońskiej z końcem czerwca br. cenny dar ofiarowany przez Romana Dmowskiego — mianowicie japońską powieść w 16 tomach, należącą do „białych kruków", o polskiem powstaniu w r. 1863, którą Dmowski dostał w czasie pobytu w Japonji od jednego z tamtejszych przyjaciół.

Jest to powieść alegoryczna, mająca przedstawiać powstanie Japończyków przeciw mikadowi w kilka lat po powstaniu polskiem. Autor powieści bawił w Polsce i przeprowadzał na naszej ziemi studja historyczne.

Prof. Chrzanowski wyraził pragnienie, aby ktoś znający język japoński, napisał o tem niezwykłem dziele.

Od adminstracji

W dniu 20 września 1934 r. ukazało się Rozporządzenie Pana Ministra Poczt i Telegrafów wprowadzające

NOWY, BEZPŁATNY DLA WYSYŁAJĄCYCH SPOSÓB PRZESYŁANIA PIENIĘDZY DO ADMINISTRACJI DZIENNIKÓW I CZASOPISM.

Na mocy tego rozporządzenia

OD DNIA 1 PAŹDZIERNIKA R. B.

przesyłać można pod adresem administracji dzienników i czasopism należności za prenumeratę i wszelkie inne należności (za drobne ogłoszenia, za pojedyńcze egzemplarze itp.) nieprzekraczające kwoty 15,— zł.

SPECJALNEMI PRZEKAZAMI ROZRACHUNKOWEMI.

Od sum przesłanych wydawnictwom przy pomocy przekazów rozrachunkowych

WYSYŁAJĄCY PIENIĄDZE NIE PONOSZĄ ŻADNYCH OPŁAT.

Przekazy rozrachunkowe (kolor błękitny) są do nabycia w cenie 1 gr. za sztukę we wszystkich urzędach pocztowych.

Francja pod rządem komitetów.

(Dokończenie ze strony 3-ej)

Niektóre myśli Halévy'ego są niezupełnie zrozumiałe, jakby sprzeczne. Jeśli bowiem francuskie pojęcie własności miało dwie formy: ziemi i urzędu, to nie rozumiemy, dlaczego autor czyni zarzuty radykałom o to — powiedzmy — uwłaszczenie urzędu.

Całość napisana jest mocnemi akcentami, jest przejawem tych dążności, które zmierzają do złamania hegemonji zmasonizowanych radykałów. Ma więc tendencję polityczną, dominującą w zakończeniu wołaniem o tego człowieka, któryby miał rękę dosyć pewną, dosyć twardą, dosyć czystą do wykonania takiego zadania. Nie spełnił go demokratyczny Doumergue. Jeszcze przed wojną światową pisał Delaisi jakby historyczne prawo, że prawicy potrzeba wodza, przybyłego z lewicy, dawnego rewolucjonisty, zyskującego wpływ energją twardością, lewicy zaś wodza, przybyłego z prawicy, który jej narzuci się wychowaniem. Czy zjawi się taki, jakiego życzyłby sobie autor, we Francji?

Obraz Halévy'ego jest smutny w swej brutalnej rzeczywistości. Jest jednak, trzeba to raz jeszcze przypomnieć, historją partji, lecz nie historją całej Francji.

W najbliższym numerze ukażą się recenzje książek:

„Norwid"
Zygmunta Wasilewskiego,

„Gospodarka narodowa"
Adama Doboszyńskiego,

„Heroiczna wspólnota narodu"
Jana Stachniuka

FIRMA FIRMA
PAN
POZNAŃ, UL. FREERY NR. 1
WYKWINTNE ARTYKUŁY MĘSKIE
POLECA: Kapelusze ostatnich fas., czapki, swetry, rękawiczki, bieliznę ciepłą, skarpety, pyjamy. Specjalność: materjały męskie, bielizna.
DLA CZŁONKÓW BRATNIEJ POM. 10% skonta

Najtaniej podręczniki uniwersyteckie
podarki gwiazdkowe
wAntykwarjacie, Br. Pierackiego 20
dawniej ul. Gwarna 20
tam też najbogatsza wypożyczalnia

Bronisław Lewandowski
Introligatornia
Poznań, ulica Jezuicka 3
Oprawa książek sortymentowych, bibljotecznych, szkolnych, kupieckich, bankowych
Dla urzędów szycie akt, wykonywanie wszelkich prac z zakresu introligat.
Dla pp. Studentów zniżka.

Najlepszy
Najzdrowszy
Najświeższy
Najtańszy
chleb
z Piekarni
Mechaniczno - Parowej
„Słońce"
Poznań, Grobla 2
Dostawa na żądanie na miejsce.

„ILUSTRACJA POLSKA"
Jedyny tego typu tygodnik w całej Polsce
Najaktualniejsze zdjęcia z Polski i z całego świata | Powieści najlepszych autorów polskich | Reportaże i nowele w każdym numerze
Film i Kino. Działy specjalne: mody paryskie i wiedeńskie, brydż, rozrywki, szachy, humor
Cena numeru 45 groszy
w kioskach ulicznych, na dworcach w „Ruchu", u sprzedawców ulicznych.
Artystyczna reklama i propaganda
„ILUSTRACJA POLSKA" wszystko w sobie mieści, w cenie jest najniższa, a najwyższa w treści.
Predpłata kwartalna w ekspedycji i agenturach 4.-zł z odnoszeniem do domu 4,65 zł, na poczcie 4,59 zł.
Bezpłatne numery okazowe wysyła na życzenie: Admin. „Ilustracji Polskiej", Poznań, Św. Marcin 70

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 6 zł. półrocznie 3 zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł. 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony — 90 zł. 1/4 strony — 70 zł. 1/8 strony — 40 zł. 1/10 strony — 30 zł.
Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski; w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań, Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Sieciechowicz, Warszawa.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.